

Jarosław Ławski  
Uniwersytet w Białymstoku

## ○ EFEKCIE INTERPRETACYJNEGO DOMINA

[Sokrates] *Jednakże, drogi Faidrosie, czy ci się nie wydaje, że mnie jakby boskie natchnienie opanowało?*  
FAIDROS: *Rzeczywiście, Sokratesie, jakiś niezwykle strumień wymowy cię porwał.*  
SOKRATES: *A więc słuchaj mnie w milczeniu<sup>1</sup>.*

### Przedślowie

Domino – fr. g r a 28 kostkami (tabliczkami), zawierającymi po dwa pola z punktami od 0 do 6; dawn. p ł a s z c z z kapturem noszony przez mnichów, członków bractw relig. itp.; od XVI w. s t r ó j m a s k a r a d o w y podobnego kroju; o s o b a przebrana w taki strój<sup>2</sup>.

W stolicy holenderskiej Fryzji, Leeuwarden, organizatorzy Domino Day 2006 podejmą w piątek próbę pobicia rekordu Guinnessa w układaniu i przewracaniu konstrukcji z kostek domina. W olbrzymiej hali Frisian Expo Center (FEC) w piątkowy wieczór ma przetrwać budowla złożona z 4 mln 400 tys. klocków. Przy ustawianiu kostek domina pracowała od września ponad 90-osobowa grupa budowniczych z całej Europy. Najliczniejszą grupą wśród konstruktorów są Polacy, którzy biorą udział w Domino Day od 2004 roku. „Nasi budowniczowie są grupą, która ma bardzo dobrą opinię. Są solidni i cieszą się zaufaniem twórców projektu”<sup>3</sup>.

---

<sup>1</sup> Platon, *Faidros*, przeł., wstępem, komentarzem i skorowidzem opatrzył L. Regner, Warszawa 2004, s. 19.

<sup>2</sup> W. Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, wyd. 13, Warszawa 1983, s. 102.

<sup>3</sup> <http://turystyka.wp.pl/kat,wid,8605866,artykuł.html> [dostęp: 7.08.2012].

I jeszcze w związku z poprzednimi: „Niektórzy utrzymują, że pies Byrona oszalał wraz z samym Byronem; inni sądzą, że Nero został doprowadzony do rozpaczliwej melancholii przez obcowanie z panem Carlyle’em”<sup>4</sup>.

## Efekt domina

Co jakiś czas ożywiają kulturę najczęściej nieprzynoszące wymiernych korzyści spory o granice interpretacji, o granice tekstu czy – już bez woalu eufemizmów – o nadinterpretację. Wszyscy uczestnicy tych gier intelektualnych skupionych na określeniu, czym jest interpretacja „adekwatna”, „właściwa”, „wartościowa”, „klasyczna”, „wyjaśniająca” lub „rozumiejąca”, gotowi są oferować niezawodne odpowiedzi i recepty. Tekstem jest to i tamto, a interpretacją we właściwym rozumieniu coś takiego... i tak dalej. Tymczasem rzadziej już zwracają uwagę na to, iż zarówno źródła, jak i konsekwencje interpretacyjnych aberracji znaleźć można w każdym „tekście”, w tym w ich własnych wypowiedziach na temat na przykład nadinterpretacji. Mam tego pełną świadomość: i moja analiza takie – oby! – nierozwinięte w pełni ziarna wypaczeń zawiera. Chciałbym o nich pomyśleć za pomocą środka, który jest jednym z najniebezpieczniejszych i najbardziej płodnych, gdy idzie o produkcję nadinterpretacji, interpretacji kuriozalnych lub po prostu bełkotu znaczeniowego: metafory. Ale – i to zaraz dodaję z uśmiechem – nie ma też nic piękniejszego i bardziej ludzkiego niż zdolność metaforyzowania, zachowującego świeżość odkrycia nowych wymiarów Sensu.

Na określenie zjawiska, które chcę przybliżyć, użyję metafory EFEKT DOMINA (ED). Tak, w pierwszym rzędzie nie chodzi mi tu o grę, strój, osobę, lecz o tę popularną w świecie zabawę polegającą na układaniu milionów kostek, które, gdy przewrócimy pierwszą z nich, przewracają się już dalej jedna po drugiej w najbardziej fantastycznych konfiguracjach. Najprostsze znaczenie metaforycznej analogii, jakie się nasuwa więc w odniesieniu do interpretacji, jest takie: oto każdy z nas, pisząc teksty, czytając i interpretując je, uruchamia czasem (nie zawsze) ciąg asocjacji tak ekspansywnych, iż wiodą nas one daleko poza znaczenia, które i zwolennik interpretacji historycznie adekwatnej, i miłośnik hermeneutycznego (samo)rozumienia uzna za transgresyjne, przekraczające normę! Zdaje się nam wtedy, że to – jak Sokratesa – jakiś nas strumień wymowy, boskiego natchnienia porywa<sup>5</sup>. Tymczasem o ile jesteśmy profesjonalnymi

<sup>4</sup> V. Woolf, *Flush. Biografia*, przeł. M. Ryc, Kraków 2009, s. 120. Przypis do s. 97.

<sup>5</sup> Sokratesa porywa miłość, Eros, urzeczenie pięknem Faidrosa. Mówi dalej: „Sokrates: A więc słuchaj mnie w milczeniu. Doprawdy bowiem, wydaje się, że to miejsce jest uświęcone. Dlatego więc nie dziw się, gdy w ciągu przemowy będę owładnięty przez natchnienie, bo dopiero co niedaleki byłem od tego, ażeby mówić wierszem. [...] Sokrates: No, ale to ty jesteś przyczyną tego. [...]” (tamże, s. 19). Związki tekstu, pisma i Erosa – zob. K.J. Dover, *Homoseksualizm grecki*, przeł. J. Margański, Kraków 2004, s. 60, 61, 94-131. Tu także o *Faidrosie*.

badaczami owego pisma świętego, którym jest tekst i każdy wytwór kultury, o tyle dokonujemy nieświadomie (choć bywa, że i świadomie) wykroczenia przeciw zasadom kreacji interpretacyjnych znaczeń, którym przydajemy dumne miano sensownych.

Chcę podkreślić – ED jest zarówno matką piękności, jak i ojcem potworów. Niemożliwe byłoby bez niego myślenie, funkcjonuje bowiem zarówno na poziomie najbardziej zracjonalizowanego dyskursu, jak i na poziomie myślenia obrazowego, symboliczno-mitycznego i metaforycznego. Bez ED nie byłoby tego tekstu oraz tekstów, do których mój tekst chce nawiązać. Różnica między tą wypowiedzią i wszystkimi innymi w niej przypomnianymi polegać ma jednak na stopniu, w jakim uruchamiamy ED. Czynię oto od słowa interpretacja tylko jeden krok ku analogii i metaforze, nie zamierzając, określiwszy terminologicznie rdzeń mej refleksji jako ED, kroczyć dalej ku innym metaforom. Chcę się bowiem przyjrzeć skojarzeniowemu rozpasaniu z jego wnętrza. Dlatego też przewróciwszy jedną kostkę domina, nie mogę uruchomić całego ciągu „przewrotów” – skojarzeń; nie wolno mi też dać się porwać strumieniowi metafor, symboli i analogii. Nie mam jednak w ogóle pewności – i ty, czytelniku, też jej mieć nie możesz – czy pochylając się analitycznie nad ciągami skojarzeń, nie ulegnę i sam nie stanę się tylko jedną z wyróconych kostek wielkiego ciągu skojarzeń, który stanowi kultura. Czy tak definiując kulturę – jako Wieki ED – nie uczyniłem już pierwszego kroku ku asocjacyjnej samozatracie?

Nie ma twórczości, w tym interpretacji, bez ED. Lecz też nie zawsze proces kojarzenia, przeskakiwania od myśli/obrazu/słowa do myśli/obrazu/słowa jest poznawczo użyteczny, ba! – sensowny... Nie chodzi mi w tym tekście o „granice interpretacji”, o „miejsce interpretacji”, o „falsyfikowanie interpretacji literackich”, także nie o „tekst-kategorię starą i nową”<sup>6</sup>. Idzie mi o i n t e r p r e t a c j ę g r a n i c y. Granicy myślenia/wyobrażania, czy też zwrotnie wyobrażania/myślenia, które ma jasno określony punkt odniesienia: tekst. Gdy idzie o jego zakres, rozumiem go szeroko: może być nim każdy wytwór kultury czy natury, ale już nie kultura czy natura ujęte totalnie jako całość. Gdy myślę o tekście istocie, to przede wszystkim podkreślam jego nie tyle materialny, ile semantyczny potencjał. Tekst rozumiem więc jako nieskończony zbiór semantycznych potencji, interpretację zaś jako samoograniczający się, choć absolutnie wolny wybór z puli nieskończonych możliwości.

W ów wybór wpisane jest też prawo kreowania czy ujawniania takich znaczeń, które kultura, społeczeństwo, inny interpretator uznają za chybione lub nawet kuriozalne. Na tej wolności zasadza się też piękno aktu interpretacji, któremu przypisuję

<sup>6</sup> Odnoszę się w ten sposób do prac stanowiących (a jakże!) macierzysty kontekst mej refleksji: J. Sławiński, *Miejsce interpretacji*; H. Markiewicz, *O falsyfikowaniu interpretacji literackich*; T. Dobrzyńska, *Tekst – kategoria stara i nowa*; wszystkie [w:] *Wiedza o literaturze i edukacja. Księga referatów Zjazdu Polonistów Warszawa 1995*, red. T. Michałowska, Z. Goliński, Z. Jarosiński, Warszawa 1996.

walor estetyczny jako takiemu w ogóle, a w y n i k o w i akcie interpretacji walor piękna przypisuję wtedy, gdy – w mniejszym lub większym stopniu – pozostaje ona jednak w pobliżu tekstu, który interpretuje.

I rzecz ostatnia. No, może przedostatnia. Wbrew abstrakcjonistycznym ujęciom przyjmuję, iż większość interpretowanych tekstów ma ontologicznie sprawdzalne podstawy w postaci zapisu, przedmiotu, nawet osoby. W odniesieniu do fikcji i wytworów wyobraźni w ogóle blisko mi jednak do stanowiska „teorii przedmiotów Meinonga” obejmującej

każdy przedmiot istniejący i fikcyjny, a więc także to, co w języku niewyraźne, ponieważ obejmuje wszystko, ku czemu można skierować myśl. Przedmiot odpowiada tu każdej dowolnej kombinacji własności, niezależnie od tego, czy własności te dają się zaobserwować i określić, albo czy zostało stwierdzone ich współwystępowanie w rzeczywistości<sup>7</sup>.

Z myśli tej wyprowadzam jednak sprzeczny z tą teorią wniosek, że większość nieobserwowalnych w rzeczywistości bytów jest „wy-jaw-ieniem”, pojawem Wyobraźni, która jest pierwszym możliwym „przedmiotem” fikcyjnym. Przenigdy tego, co objawia Wyobraźnia, nie nazwałbym „wytworem”, a jej aktywności „wytwarzaniem”. EFEKT DOMINA uwikłany jest w aktywność tej racjonalnie niepojmowalnej „sfery zero”, sfery wy-obrażania i przed-stawiania (czy nie porywa mnie właśnie ciąg padających na siebie kostek domina, myśli-obrazów, etymologicznych metafor? Trochę porywa...).

Chcąc jednak utrzymać tę odległość jednego kroku od zagadnienia, którym się zajmuję, od ED, muszę też przyjąć ograniczoną i – lękam się stygmatu „prymitywisty” – prostą definicję tekstu: „tekstem” jest tu po prostu obrazowe przedstawienie-metafora, metafora-analogia dająca wyobrażenie o procesie ludzkiego kojarzenia podczas procesu interpretacji; takiego kojarzenia, które nie zna samoograniczeń i zwoździ interpretatora poza granice Sensu. W tym znaczeniu zgadzam się też z socjologicznym postawieniem zagadnienia bycia tekstem, granic i funkcji tekstu: „Tekst nie jest niczym więcej jak medium, za pomocą którego kultura toczy swoją grę”<sup>8</sup>. Analizowany tu efekt domina (asocjacyjnego, interpretacyjnego) należy więc – by powołać się na inspirującą myśl Kazimierza Ajdukiewicza – nie do klasy „faktów”, gdyż nie uległ „skonwencjonalizowaniu” językowemu „bez naszego udziału i w obszarze kultury zastrzeżonym dla

<sup>7</sup> A. Sierszulska, *Fikcja wbrew ograniczeniom języka*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 161. A. Sierszulska analizuje prace A. Meinonga: *Über Annahmen* (1902) i *Über Gegenstandstheorie* (1904). Punkt wyjścia: „[...] dopiero teoria przedmiotów Meinouga umieściła fikcję w obszarze poważnych badań ontologicznych, proponując punkt widzenia, zgodnie z którym bycie przedmiotem stało się niezależne od istnienia, a mówienie o przedmiotach fikcyjnych przestało być równoznaczne mówieniu o niczym” (tamże, s. 160).

<sup>8</sup> A. Zybortowicz, *My – „pogubięcy”*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 65.

kompetencji specjalistów”<sup>9</sup>, lecz do klasy „interpretacji”, a więc jest obserwacją ujętą w metaforze-analogii, która nie została językowo zobiektywizowana i skonwencjonalizowana w przestrzeni kultury (znów metafora!). I, co więcej, nie rości sobie takiego prawa. Jeszcze więcej: ED nie chce być interpretacją zasad interpretacji, lecz tylko i jedynie obserwacją. Niczym więcej i basta!

Na określenia „tekstu” nie przywołam jak Wojciech Kalaga „mgławic”, „osmozy”<sup>10</sup>; mógłbym też wzbogacić ten zestaw metafor pierwszej pomocy o: dyfuzję, homeostazę, konwergencję, czy nawet apoptozę, wewnętrzny mechanizm śmierci tekstu, ale i od tych procedur kojarzeniowych się uchylę, pomny na formułowane wcześniej do samego siebie apele o ograniczanie asocjacyjnego rozpędu<sup>11</sup>.

Po co i komu potrzebna refleksja o ED? Jaki pożytek z interpretacji granicy, której nie (!?) powinniśmy przekraczać? Nie chodzi mi o scjentystyczną satysfakcję posiadania naukowego wyniku, który w języku koniecznego w tym momencie truizmu badacz określałby jako „interpretacje klasyczne”, a więc „przestrzegające respektowania kontekstu macierzystego, wystrzegające się też zadawania tekstom niewłaściwych pytań i proponowania różnych form nadinterpretacji” (Kazimierz Bartoszyński)<sup>12</sup>. Co za myśl: p r o p o n o w a ć nadinterpretację, z a d a w a ć (świadomie?) n i e w ł a ś c i w e pytania i a ?! A otóż do istoty nadinterpretacji i niedointerpretacji należy to, że zawsze ich autor wychodzi z przekonania o najdoskonalszym charakterze zadawanych pytań. Nad- i niedointerpretacji się nie proponuje. Otrzymuje się je jako – najczęściej euforycznie przyjmowany – w y n i k procedur badawczych opartych w przekonaniu większości na fałszywych przesłankach. Nie, nie chcemy, by interpretacja produkowała tylko odczytania należące do „tradycyjnej podgrupy” interpretacji „klasycznych”, gdzie:

Jest to zbiór interpretacji nie tylko „użytecznych”, ale szczególnie wartościowych, bo trafiających w *intentio operis*, w przekonaniu, że przy zastosowaniu odpowiednich środków osiągalne jest trafne wykrycie owej „intencji”. Dla pozostałych i często również „użytecznych” interpretacji przeznaczylibyśmy po prostu nazwę „interpretacji nieklasycznych”<sup>13</sup>.

<sup>9</sup> Tamże, s. 66-67.

<sup>10</sup> Oczywiście w centrum „kontekstów macierzystych” jest numer „Tekstów Drugich” (1998, z. 4) zawierający tekst W. Kalagi *Granice tekstu – mgławice tekstu*, gdzie metafory „osmotyczna” i „mgławicowa” odgrywają fundamentalną rolę.

<sup>11</sup> Ba, właśnie kusi mnie, by takie pojęcie apoptozy, samounicestwienia tekstu wprowadzić. Ale, *nolens volens*, cofam się... Zob. M. Wańczowski, M. Lenart, *Księga żaloby i śmierci*, współpraca M. Burzka-Janik, M. Kawa, E. Maciesowicz, M. Szladowski, Warszawa 2009: „Apoptoza. Nazwa biologicznego zaprogramowania śmierci komórek” (s. 22).

<sup>12</sup> K. Bartoszyński, „Klasyczność” i „nieklasyczność” interpretacji, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 55.

<sup>13</sup> Tamże.

W ostatniej części powyższego wywodu, zastępującego propozycję terminologicznych uściśleń procedurą wartościowania interpretacji (i interpretatorów), dokonuje się miłosierne ułaskawienie hermeneutyki. Nie potrzebuje ona – dodam od siebie – tej łaski, podobnie jak nie każdy autor marzy o tym, by odbiorca jego dzieła utrafił w *intentio operis* i kontekst macierzysty.

Co więcej, rasowy autor, wyjąwszy „naturzczyków” niepodejmujących w ogóle samorefleksji, ma świadomość, iż większy pożytek z trwania jego dzieła w kulturze nawet wtedy, gdy nieczytelny jest już kontekst macierzysty, niż numifikacja w podręczniku „historii literatury” kontekst ów najcelniej określającym<sup>14</sup>. Autorska próżność jest tu, by tak rzec, mądrzejsza od naukowej skrupulatności.

Refleksja o ED ma cel minimalistyczny: określić możliwość istnienia interpretatora w środowisku samorozumiejącej się prawdy. Także prawdy zagrożonej z jednej strony przez struchlałą ze strachu przed „nienaukowością” myślą, a z drugiej strony bezbronnej wobec fali porywają tę myśl ze sobą poza granice Sensu<sup>15</sup> (i ja właśnie otarłem się o tę drugą możliwość, metaforyzując ekspresję zagrożeń...). Nie chodzi, broń Boże, o ograniczanie interpretacji, lecz o samą interpretację granicy, poza którą ruch skojarzeń jest już tylko estetycznym dziwowiskiem, fajerwerkiem nieskończonego ruchu (uwaga: metafory!). Nad- i niedointerpretacje mnie tu nie interesują. Są bowiem tylko drobną częścią wielkiego Ruchu Asocjacji i Myśli, który zagarnia interpretacje, by wyłonić się mogły te, które akceptuje większa grupa odbiorców.

W tym sensie jako wspólny punkt odniesienia i interpersonalny przedmiot refleksji interpretacje takie nie stają się użyteczne<sup>16</sup>, lecz są po prostu pożyteczne. Subiektywnie zaś – ale już na wyższym poziomie odbiorczej świadomości – mogą być pojmowane estetycznie: jako piękne. Powtórzę – na najwyższym piętrze interpretacyjnej finezji piękno tekstu i piękno interpretacji ujmowane są jako nierozdzielne i nierozróżnialne. Są jednym. Interpretacja jest piękna, co – paradoksalnie – znaczy: oba teksty są piękne jednym pięknem. Jest to możebne tylko wtedy, gdy efekt domina nie porywa umysłu i wyobraźni interpretatora, a z nim interpretowanego tekstu, poza ową granicę, którą tu rozpatrujemy w świetle Sensu i bez-Sensu. Kiedy więc rozprawiam o estetycznym

<sup>14</sup> Dlatego nie szedłbym zbyt daleko w potępianiu młodych badaczy nierozumiejących PRL-owskiego kontekstu liryki W. Szymborskiej. M. Głowiński, *Szymborska i krytycy*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 177-199. Co innego jednak brednie nienawistników ideologicznych, z którymi nie chciałby siedzieć w jednym worku nawet najgłuchszy jak na PRL-owskie realia interpretator z postpeerelowskiego pokolenia. O nie, tylko nie to!

<sup>15</sup> W żadnym wypadku jednak nie chodzi mi tu o prawdę „zdemaskowaną”, np. psychoanalitycznie czy socjologicznie. Zob. P. Dybel, *Freud i Jaspers – dwie hermeneutyki*, „Świat Psychoanalizy” 1998, z. 2, s. 15: „Najbardziej zmiennym rysem tej ostatniej [hermeneutyki psychoanalitycznej Freuda – J.Ł.] jest wszakże *odejrzewanie i demaskowanie* jawnego sensu za pomocą procedury spekulatywnej dedukcji [...]”.

<sup>16</sup> Zob. A. Szahaj, *Paninterpretacjonizm, czyli nie ma niczego w tekście, czego by pierwszej nie było w kontekście (odpowiedź krytykom)*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 90.

walorze interpretacji, której zagraża ED, myślę nieodzownie także o jej etycznym wymiarze. Jest ona piękna i/ponieważ jest dobra. Co znaczy też prawdziwa.

## Gałązeczka skrzydlata

Spróbujmy przybliżyć istotę ED, wywołując najpierw wilka (ED) z lasu (interpretacji). Jak się wydaje, jego możliwość pojawienia się zależy w dużym stopniu od poziomu, na jakim rozpatrywany jest tekst. Im poziom wyższy, im większe wyrefinowanie i wyposażenie erudycyjne, tym... korzystniejsze warunki pojawienia się ED podczas interpretacji. Czasem wynika to z tego, że dla interpretatora-wirtuoza osiągnięcie standardowych konkluzji dotyczących formy, poetyki, idei tekstu jest po prostu czymś tak bezproblemowym, iż niepotrzebne stają się nawet nużące rozważania teoretyczno-metodologiczne, analiza formy, a potem wygrzebywanie idei spod sterty słów (oj, metafora...). Skoro historycznie adekwatny wynik wprawne oko otrzymuje po pierwszym spojrzeniu, rodzi się pragnienie najpierw innego, a potem w owej inności zawierającego się odczytania oryginalnego. EFEKT DOMINA uruchamiają więc często pytania tego typu, których nigdy wcześniej tekstowi nie zadawano<sup>17</sup>.

Ale i to nie jest konieczne: wystarczy banalna procedura interpretacyjna, by już na poziomie rozpoznać historycznego kontekstu dzieła, jak też jego poetyki ujętej w kontekście konwencji przyjętych „w epoce” czy nawet czysto faktograficznych ustaleń, pojawiły się skojarzenia odległe i śmiałe, a bywa, wprost horrendalnie głupie czy kuriozalne. Badacz tekstu romantycznego – z natury uwikłanego w metafizyczne czy spirytualistyczne konteksty – potrafi wtedy, jak Andrzej Niemojewski, odczytać kolejne części *Dziadów* w świetle swych obsesji. Książka tego ostatniego *Dawność a Mickiewicz* powinna być niemal obowiązkowo studiowana jako przykład racjonalistycznej postawy, która wskutek uruchomienia niekończących się asocjacji erudycyjnych i wyobrażeniowych ciągów powiązań prowadzi poza granice humanistyki, aż w końcu przeobraża się w świadectwo seansów spirytystycznych, okraszone zdjęciami zjaw czy takimi oto wnioskami:

Ale idźmy dalej.

Widma dziewczyny i nieszczęśliwego kochanka w *Dziadach* stanowiłyby temat pięknego studjum literackiego, gdyby uczestnicy seansów mieli dar pióra i opisywali swoje na seansach przeżycia. Ileż to razy słyszało się szept: „Marjo, to ty?” „Kaziu, dlaczego o mnie zapomniałeś?” „Tęsknię do ciebie!” „Pamiętasz, ten pierścionek od ciebie... dotknij... który?... Ten!”

<sup>17</sup> Zauważa to K. Bartoszyński (dz. cyt., s. 42): „W stosunku natomiast do pytań interpretacyjnych wyższego stopnia istnieją oczywiście ograniczenia dyktowane przez konwencje literackie badanych tekstów”. Czy to „oczywiste”?

Jeżeli ze stanowiska badań medjumistycznych, wymagających postępowania czysto laboratoryjnego, suchego, z unikaniem wszelkich wzruszeń, seanse tego rodzaju gniewają uczonych, to właśnie badacz tekstów literackich, mając na oku swoje cele, nieraz właśnie z nich ciągnął korzyść największą, nie dbając o to, czy mu przyrodnicy i psychofizycy nie zarzucą postępowania nienaukowego. Aleć to już tak jest, że nauka stawia sobie różne cele. Szukanie tła zjawiskowego dla Dziadów, Liturgji Mitraistycznej i księgi Pistis Sofia, jest także godziwym celem naukowym<sup>18</sup>.

Dla porządku dodam, iż w innych partiach pracy dominuje z kolei astralistyka, metoda tłumacząca wszystkie niuanse świata przedstawionego dzieł układem gwiazd na niebie. Przy tym Niemojewski miewa wszędzie odkrywcze intuicje, które zaraz zamienia w *curiosa*, ulegając z erotyczną niemal satysfakcją przyjemności kojarzenia. To przypadek skrajny, oczywiście. Ale wcale nie taki rzadki.

Warto w tym miejscu zapisać ogólniejszą obserwację. Autor *Legend* metodę astralistyczną rozciągnął na całą rzeczywistość<sup>19</sup>. Jak wiemy, w książce *Bóg Jezus w świetle badań cudzych i własnych* (1909) również całe chrześcijaństwo objaśnił układem gwiazdnych konstelacji, a z Chrystusa uczynił bóstwo solarne. Chcę zauważyć, że absolutna większość teorii spiskowych nie jest produktem rozumu, analizy, roztropnych procedur interpretacyjnych, lecz efektu domina rozplenionego na poziomie wyobraźniowych skoków skojarzeniowych. Raz odkryta zasada tajemna rządząca światem ujawnia się wtedy na poziomie całej rzeczywistości w coraz to odmiennych kształtach. Intelktualny jej rdzeń, racjonalny (a nie: pseudoracjonalny!) rdzeń jest najczęściej prosty, czasem prymitywny, natomiast napędzany emocjami i zdolnością kojarzenia pojawia się w coraz to nowych obszarach rzeczywistości. Wbrew popularnym przekonaniom początkiem obsesji i teorii spiskowych nie jest irracjonalne przekonanie, na przykład „światem rządzą masoni”, lecz racjonalne i sprawdzalne zdanie „masoni istnieją”. Dopiero środowisko, kontekst socjologiczny, profil psychologiczny „nosiciela” tej myśli umożliwiają przekształcenie jej w intelektualne *curiosum*. Szkoda czasu na wyliczenia: myśl o tym, że światem rządzą jezuici, Żydzi, członkowie Opus Dei czy masoni, nie opuszcza milionów mieszkańców tego świata kojarzących ze sobą najodleglejsze czasem zjawiska, takie jak korupcja i styl postmodernistyczny w architekturze, by na przykład skonkludować: „Obnażenie prawdziwego oblicza masonerii jest dzisiaj szczególnie potrzebne. Żyjemy bowiem w czasach, w których umacnia ona swoje szyki, wciela w życie swoją globalną ideologię, czuje się całkowicie bezkarna w tym, co robi

<sup>18</sup> A. Niemojewski, *Dawność a Mickiewicz. Filozofja Mickiewicza. Liczby i godziny. Widma. Gwiazdy Mickiewicza. Tradycje improwizacji*, Warszawa–Lublin–Łódź–Poznań 1922, s. 116.

<sup>19</sup> Astralistyka – teoria religioznawcza powstała w XVIII w. upatrująca w kulcie ciał niebieskich, Słońca, Księżycy, gwiazd genezy wierzeń religijnych.



[...]”<sup>20</sup>. W przypadku teorii spiskowych interpretacja tekstu, a ogólnie też świata jako „Tekstu”, sprowadza się do ekstrapolacji najczęściej intelektualnie oczywistej lub wątpliej tezy na całą rzeczywistość właśnie za pomocą ED. To jeden z ohydniejszych sposobów nadużycia władzy wyobraźni.

EFEKT DOMINA występuje też w innej konfiguracji w przypadku osobniczych obsesji, na przykład natury seksualnej<sup>21</sup>. Czasem przeobraża się, gdy zaistnieją ku temu warunki, by tak rzec, socjologiczne w doświadczenie zbiorowe tych, którzy przeżyli podobne perypetie. By daleko nie szukać: Jan Jakub Rousseau przedstawił w *Emilu, czyli o wychowaniu* (1792), traktacie przeciw pedagogicznemu, męczyznę i męskość jako zagrożone przez rozpasane seksualnie kobiety i kobiecość. Te zaś zagrożenia stanowiły jego zdaniem niebezpieczeństwo dla całej kultury. Kultury męskiej dominacji. Z drugiej strony nietrudno sobie wyobrazić doświadczenie zranionej przez męczyznę kobiety/kobiecości, które – znów działa tu ED – ekstrapoluje ona na cały świat męski. W obu przypadkach do zwykłego efektu domina polegającego na coraz odleglejszej projekcji pierwotnego doświadczenia lęku i zranienia dołącza się ta osobliwa odmiana ED, która wiąże się z wartościowaniem. Kolejne kostki domina (poznane kobiety, mężczyźni), o dziwo, są coraz gorsze, coraz bardziej podejrzane, stanowią coraz większe zagrożenie, gdyż... coraz mniej przypominają obiekt pierwotnej traumy. Wyobraźnia czyni tu użytek nie tylko ze zdolności kojarzenia, lecz także ze zdolności konfabulacji i na tej podstawie powstrzymywania, hamowania ludzkich odruchów komunikacji z Innym-Podejrzany.

Na koniec coś *pro domo sua*: badacz tekstów kultury, nawet tych fikcyjnych, historyk literatury czy fenomenolog wyobraźni, hermeneuta i badacz „kontekstu macierzystego” obarczony prywatnie, w sferze intymnej niemal zawsze jakimis głęboko motywowanymi natręctwami skojarzeniowymi, o ile nie przekroczy progu samoświadomości, o tyle pozostanie już zawsze ofiarą ED<sup>22</sup>. Co więcej, jego kostki domina przewracając się będą zawsze w jednym kierunku: od centrum jego duchowego urazu ku innym podobnym przypadkom. Nie napisze też nigdy studium o szczęściu tego czy tamtego twórcy.

<sup>20</sup> J. Pociąg, *Masonizm*, „Biblioteka Wszepocholaka”, Krzeszowice 2003, s. 6.

<sup>21</sup> Problemy te znakomicie ujawnia literatura. Zob. A. Janicka, „Ciało niczyje”. *Doświadczenie ciała w prozie Gabrieli Zapolskiej*; E. Paczoska, *Idea czystości i piekło męczyzn w literaturze drugiej połowy XIX wieku*; T. Cegieleski, *Tabu a samotność w kulturze wiktoriańskiej Anglii*, [w:] *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Warszawa 2006.

<sup>22</sup> Piszę to w kontekście dwu wypowiedzi: K. Pawlak, *Interpretacja w procesie psychoanalitycznym*; J. Gościński, *Dyskurs psychoanalityczny w teorii Jacques’a Lacana*, obie prace: „Świat Psychoanalizy” 1995, nr 2.

Zrywam z obsesjami i przekornie powracam na łono „historii literatury”. Ta meandryczność – choć to beznadziejne – ma mnie uchronić przed zbudowaniem w pełni konsekwentnego ciągu skojarzeniowego (ED) na temat ED...

Myliliby się ten, kto sądziłby, że szaleństwo skojarzeń przypisane jest tylko epokom usposobionym irracjonalnie. Wprost przeciwnie. Rozkwita ono również tam, gdzie metafizyka stanowi przedmiot oficjalnej banicji, zostaje wykluczona. W badaniach literackich polem szczególnie zagrożonym przez ED są wszelkie dociekania genetyczne. Badaczem, którego trudno byłoby posądzić i o inklinacje irracjonalistyczne, i o archaiczny styl myślenia naukowego czy ideowe wstecznictwo (marksista?), był Wacław Kubacki. Jego prywatnym nieszczęściem było niespełnienie pisarskie, kumulujące w chorobliwym pragnieniu zwieńczenia trudu tworzenia noblowską nagrodą. Za to na polu literaturoznawstwa wetował to sobie albo adaptując dzieła klasyczne do ideowego formatu marksistowskiej formuły, objaśniającej totalnie rzeczywistość klasowym kluczem, albo dając popisy erudycyjnego ED, czego bodaj najjaskrawszymi przykładami są książki o Mickiewiczu na Krymie czy studium o III części *Dziadów*<sup>23</sup>.

W tym ostatnim dziele, by opisać fenomen „ekstazy” księdza Piotra, uruchamia taki oto, znaczony w najprostszy sposób nazwiskami twórców i badaczy, kontekst: „badanie D. W. Bousseta, Boeklena, Fr. Cumonta, Alb. Dietricha, P. Wendlanda i R. Eislera wyjaśniły misteryjną genezę szaty czy sukni duszy”, „greckie teksty misteryjne”, „apokryfy żydowskie”, wniebowzięcie Izajasza, „orfickie misteria”, „pierwsi chrześcijanie” i *alba baptismalis*, święty Paweł, Dionizjusz Areopagita, Roksolanki Szymona Zimorowicza, „Lenerula Zimorowicza naśladowana z poezji klasycznej”, „uwolnienie duszy” u Aleksandra Pope’a, *Nowy Rok* Ignacego Krasickiego zakończony „powinszowaniem z Metastazjusza”, myśl Adama Kazimierza Czartoryskiego o metafizykach, *Dumania w dzień odjazdu* Adama Mickiewicza, *Napój cienisty* Bolesława Leśmiana i „motyw Akteona”, „chrześcijański Prometeusz”, „klasyczne Oświecenie”, „tragedia grecka, przede wszystkim Ajschylosa”, „Konrad-Tytan-Prometeusz”<sup>24</sup>. Dość, na Boga! To wszystko na niespełna trzech stronach.

Ktoś to wszystko musiał skojarzyć, „racjonalnie” powiązać i uporządkować w ciągu analogii, które... prowadzą do banalnego w swej istocie podsumowania:

Misteryjność wiąże się ściśle z przedstawionym wyżej pojmowaniem snu jako stanu, w którym dusza uwalnia się od ciężaru ciała: sen – jasnowidzenie – ekstaza. Temu szeregowi w dziejach Konrada odpowiada łańcuch pogański: wizjoner – wieszcz – Prometeusz. W dziejach księdza Piotra mamy wariant chrześcijański: wtajemniczony – święty – prorok<sup>25</sup>.

<sup>23</sup> W. Kubacki, *Arcydramat Mickiewicza. Studia nad III częścią „Dziadów”*, Kraków 1951; tenże, *Z Mickiewiczem na Krymie*, Warszawa 1977.

<sup>24</sup> Tenże, *Arcydramat Mickiewicza...*, s. 59-61.

<sup>25</sup> Tamże, s. 61-62.

Kostki domina rozleciały się to we wszystkich kierunkach, po różnych kulturach, epokach, estetykach, choć tak naprawdę tylko trop misteryjny pozwolił jakoś dookreślić myśl pierwotną o ekstazie księdza Piotra, która tymczasem w czasie asocjacyjnych harców przepadła gdzieś – nie wiadomo gdzie.

Podobne zjawisko występuje przecież także na terenie filozofii. Szczególniej tam, gdzie wykład czy wyjawienie prawdy przez wielkie „P” odbywa się na gruncie metafory. W ogóle – z punktu widzenia badacza ludzkiej władzy wyobrażania – jest rzeczą przygnębiającą obserwowanie, jak historycy filozofii wypaczają znaczenia interpretowanych przez siebie dzieł tylko dlatego, że czasem nie mają żadnej wiedzy na temat formy analizowanych dzieł, ich kształtu językowego, gatunkowego. Zupełnym kuriozum jest analizowanie logicznej struktury dzieł chociażby Platona, Plotyna, neoplatoników, Mistra Eckharta, świętej Teresy z Avila, Arthura Schopenhauera, Friedricha Schellinga, Fryderyka Nietzschego czy Jeana Baudrillarda bez zrozumienia obrazowego, wyobraźniowego charakteru ich wypowiedzi. Z drugiej strony u *sensu stricto* filozofów nadmiar obrazowości w połączeniu z kompetencją erudycyjną prowadzi do zjawiska semantycznego szumu, magmowatości formy, nadmetaforyczności, której towarzyszy jeszcze pragnienie popisania się zdolnością tworzenia neologizmów lub efektownych całości pojęciowo-obrazowych. Wszystko, oczywiście, z założenia czyni się dlatego, że język sam jakoby u-jawnia, wy-jawia, roz-jaśnia *et cetera*. Liczne tego przykłady znajdziemy w XX-wiecznej filozofii dialogu u Martina Bubera, Franza Rosenzweiga, Emanuela Lévinasa, a u nas u kroczącego ich śladem księdza Józefa Tischnera. Czytajmy:

Francuskie słowo *visage* sugeruje, że twarz jest zasadniczo widzialna. Czy oznacza to znane z Platona uprzywilejowanie wzroku? Wręcz przeciwnie. Twarz jest tym, co bardziej daje się słyszeć, niż widzieć. W istocie rzeczy nie chodzi jednak ani o wzrok, ani o słuch, lecz o ujawnienie czegoś, co wykracza poza sferę zmysłowości. Mówi Lévinas: „Myślę, że dostęp do twarzy jest od razu etyczny. Kiedy widzi pan nos, oczy, czoło, podbródek i może je pan opisać, zwraca się pan ku bliźniemu jak ku przedmiotowi. Najlepszym sposobem spotkania bliźniego jest niezauważenie nawet koloru jego oczu! Kiedy obserwuje się kolor oczu, nie pozostaje się w relacji wspólnotowej z bliźnim. Zapewne, relacja z twarzą może być zdominowana przez percepcję, lecz to, co specyficznie jest twarzą, nie sprowadza się do percepcji.

Objawienie potrzebuje materii, którą mogłoby się posłużyć. Ale nie zamieszkuje tej materii, jak rzecz zamieszkuje swój przejaw. Twarz znaczy. Nie tak jednak, jak znaczą znaki, symbole, metafory. Twarz jest śladem. Co to znaczy być śladem?

Zanim odpowiem na to pytanie, przytoczę tekst pochodzący z pracy Stephana Mosésa o Rosenzweigu i jego koncepcji twarzy. Lévinas napisał, że myśl Rosenzweiga jest tak głęboko i tak wszechstronnie obecna w jego filozofii, iż sposób jej nawet sygnalizować cytataami. Komentarz Mosésa rzuca snop światła

na wagę i miejsce problemu. Czytamy: „To właśnie w twarzy ludzkiej objawia się prawda Boża [...]”<sup>26</sup>.

Zaczyna się ów *passus* cytatem z autorytetu, potem następuje konkluzyjny ciąg metaforyzacji, zapowiedź kolejnej kwestii i... następne wsparcie autorytetem. Skojarzenia ujęte w ciągi metafor rozlewają się (...metafora...) na całą książkę. U innego filozofa – co pisać? – u „ekofilozofa” Henryka Skolimowskiego pozostawanie w tak wąskiej ramie asocjacyjnej, jaką dla J. Tischnera stanowi filozofia dialogu, jest niedopuszczalne. Tu horyzonty związków i oddziaływań stają się niebotyczne: od atomu wodoru, przez Chrystusa, plejadę filozofów, po „boskość”:

Chrystus jawi się u końca naszej drogi, gdy staniemy się skryształowaną duchowością, gdy osiągniemy boskości. Plan Boży jawi się jako obraz krwawej walki, którą toczy z własnym przeznaczeniem. Król-Duch to rzadkie momenty olśnienia duchowością, momenty, które rozświetlają mroki naszego życia indywidualnego i gatunkowego. Tak więc nie tyle metafizyka czy też teologia, ile krwawa i fantastyczna walka o cel i znaczenie naszego istnienia w świecie nie stworzonym na podobieństwo Boga, ale na podobieństwo pierwotnych atomów wodoru: wszystkie kształty nowe, włączając człowieka, z bardzo kruchej musieliśmy lepić gliny.

Co do Bergsona, to niewątpliwie jego ewolucja twórcza jest zawarta jakoś w pojęciu człowieka jako bytu uwarzliwiającego się. Jednakże w pojęciu człowieka jako bytu uwarzliwiającego się jest jakoś zawarta również koncepcja Platona esencji jako kardynalnych wyznaczników bytu ludzkiego; Arystotelesa koncepcja Formy jako atrybutu wykształconej i zorganizowanej materii; koncepcja Buddy upatrująca duchowości w każdym tworze kosmosu; Jezusa koncepcja człowieka jako obdarzonego miłością i miłosierdziem; koncepcja Spinozy wszechrozwoju duchowego świata; koncepcja moralna Kanta oparta na imperatywie kategorycznym; koncepcja Teilharda de Chardina punktu omega. Wszyscy oni starali się rozświetlić nam mroki naszego istnienia i skierować nas na drogę dalszej transcendencji<sup>27</sup>.

EFEKT DOMINA funkcjonuje u Skolimowskiego w sposób wprost modelowy. Idei regulatywnej dla jego refleksji, czyli myśli o samostwarzającej się „boskości”, podporządkowane są wszystkie inne tradycje filozoficzne. Na podobnej zasadzie ambitny żurnalista niemiecki, Paul Badde, dostrzegł w apokaliptycznej wizji Nowej Jerozolimie praobraz wszystkich europejskich marzeń i dążeń do stworzenia idealnego społeczeństwa, przedstawiając tę myśl w historycznym przekroju: od (bagatela!) Jerozolimy (Jerozolima od 1000 r. przed Chrystusem do 100 r. po Chrystusie) aż po losy Europy

<sup>26</sup> Ks. J. Tischner, *Filozofia dramatu. Wprowadzenie*, Paryż 1990, s. 30-31.

<sup>27</sup> H. Skolimowski, *Medytacje o nędzach cywilizacji technicznej i blaskach życia ludzkiego*, Londyn 1979, s. 67-62. Por. *Wokół Eko-filozofii. Księga jubileuszowa ofiarowana Profesorowi Henrykowi Skolimowskiemu dla uczczenia siedemdziesięciolecia urodzin*, red. A. Papuziński, Z. Hull, Bydgoszcz 2001.

na progu XXI wieku, co ostatecznie upewniło reportera „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, że: „Polityczna historia Europy jest bowiem historią pewnej tęsknoty, zrodzonej w starożytnym Izraelu. Przez tysiąclecia była ona pielęgnowana w synagogach i kościołach – nawet jeśli na przestrzeni wieków Żydzi i chrześcijanie zapomnieli, że dzielą wspólną nadzieję”<sup>28</sup>. Jak widać, kostki domina ułożyły się tu w najprostszej (uwaga: ironia!) linii prostej od centrum w zamierchłości po obrzeża nowoczesności<sup>29</sup>. Nie stworzył Badde w ten sposób za pomocą ED jakiejś wizji tajemnej historii; stworzył wizję zapewne nieprzylegającą do rzeczywistości. Piękną zresztą. Wizje to jednak mają do siebie, że o ile nie podlegają doraźnej ideologizacji, o tyle pozostają świadectwem ludzkiego poszukiwania Sensu przez wielkie „S”. Przynajmniej tak nam, zewnętrznym obserwatorom, się wydaje. Ale i tego nie możemy być pewni. Jak powiada prześwietna, ulubiona i błyskotliwa Virginia Woolf o swym bohaterze: „Inna sprawa, czy wiemy, co działa się w jego umyśle”<sup>30</sup>. No właśnie, nie wiemy, co działa się w umyśle wizjonera, co dzieje się w naszym, ani nawet w „umyśle” Woolf!

Domyślamy się za to, jakie mechanizmy poruszyły umysł Maryli Falk, kiedy badając Króla-Ducha, odkryła dlań analogon w filozofii indyjskiej. EFEKT DOMINA był tu porażający: ogromna kostka z inskrypcją Król-Duch runęła tu aż na kostki z napisem Bhatawadgita, buddyzm, metempsychoza. Efekt „efektu domina”:

Słowacki'a doctrine thus presents a peculiar amalgamation of the Upanishadic doctrine of psycho-cosmic salvation though evolution with the hetero-soteriological conception proper to Buddhism. No similar case of close integration of the two concepts is met with in the earlier Romantic formulations of the evolution theory<sup>31</sup>.

Znamy ostateczną konkluzję badaczki: „that King-Spirit is, in fact, the first Bodhisattva-epic in Western literature”<sup>32</sup>. Historycy filozofii i literatury wiedzą zresztą, że w tym samym dziele Słowackiego, gdy kostki domina przewrócą się w inną stronę, najłatwiej znaleźć inną figurę: nadczłowieka Nietzschego. Konkluzje Filk pochodzą z maja 1949 roku. Jeszcze przed II wojną światową dominowała tonacja inna. Wprost czasem komiczna. Nic to, gdy stosując (ED) projekcję retrospektywną, odnajdywano pierwociny myśli Nietzschego lub figurę poprzednika w Królu-Duchu. Gdy snuto analogie, tak jak czynił to z naukową, wspaniałą wstrzemięźliwością Juliusz Kleiner, wszystko odbywało się zgodnie z regułami humanistycznej wolności

<sup>28</sup> P. Badde, *Miasto Niebiańskie. Zachodnie marzenie o społeczeństwie sprawiedliwym*, przeł. A. Kuć, Radom 2007, s. 245.

<sup>29</sup> Ale co to takiego „nowoczesność”? Aż strach przywołać tu prace z tym pojęciem w tytule.

<sup>30</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, przeł. M. Heydel, Kraków 2009, s. 164.

<sup>31</sup> M. Falk, *Indian elements in Słowacki's thought*, [w:] *Juliusz Słowacki 1809–1849. Księga zbiorowa w stulecie zgonu*, red. W. Folkierski, M. Giergielewicz, S. Stroński, Londyn 1951, s. 206-207.

<sup>32</sup> Tamże, s. 231.

szukania najdalszych bodaj precedensów dla dzieł tak bezprecedensowych jak Król-Duch<sup>33</sup>. Śmiesznie i żałośnie było już jednak wtedy, gdy to z Nietzschego czyniono niemrawego plagiatora idei Słowackiego: „[...] według głosów w polskiej prasie – udowadnia Grzegorz Kowal – Nietzsche nie tylko skopiował, ale i zbrukał dostojną myśl Słowackiego o nadczłowieku”<sup>34</sup>. O! W tym przypadku kostki skojarzeń jakby nie wiedziały, w którą stronę się przewrócić. Jest jasne, że jeden o drugim pojęcia nie mieli (nawet gdy obu uczynimy „mystykami”). Tymczasem to albo Słowacki poprzedza/ zapowiada Nietzschego, albo Nietzsche podkrada myśli Słowackiemu. I w jednym, i w drugim przypadku – przecież – gmin rozumowi bluźni.

Ostatnie tu egzemplia z cudzego poletka. Polem wyjątkowych już nadużyć z gatunku ED bywa antropologia. Porównawcza, więc roszcząca sobie prawo do porównywania wszystkiego ze wszystkim. Paralele, analogie strukturalne i inne plenią się tu ze zdwojoną siłą. Indianie amazońscy i pierwotni mieszkańcy Europy przedchrześcijańskiej – czemuż by ich nie porównać? Wszystko można porównać i we wszystkim wykryć prymitywnie rozumianą analogię. Gdy tymczasem analogia jest czymś znacznie bardziej subtelnym niż zewnętrzne podobieństwo tego czy innego elementu. EFEKT DOMINA żywi się jednak takim właśnie symplifikatem rozumienia analogii. Długi cytat, ale przestrzega dosadnie, więc przywołam w całości badacza analogii:

Nawet przy nagromadzeniu znacznej liczby cech podobnych między obiektami trudno już mówić o ich analogiczności. Nawet podobieństwo pod względem bardzo wyjątkowych cech nie stanowi jeszcze dostatecznej racji orzekania o związku analogii między porównywanymi zdarzeniami lub obiektami.

Gdyby podobieństwo cech stanowiło wystarczającą podstawę ujmowania związku analogii, wówczas zaroiłoby się od pseudonaukowych wniosków wyciąganych na podstawie takiego związku. W przyrodzie nie ma bowiem ani jednej rzeczy, która nie byłaby podobna pod względem niektórych cech do innych rzeczy. Nawet pomiędzy kamieniem a człowiekiem można by wyliczyć dość długą listę cech podobnych. Gdyby tego rodzaju podobieństwa miały stanowić wystarczającą podstawę do wciągania wniosków analogicznych, to tego typu rozumowania musiałyby ostatecznie doprowadzić do uznania „analogiczności wszechrzeczy”, czyli do pojęciowego utożsamiania różnorodnych zjawisk i obiektów bez istotnych powodów. Tego rodzaju sytuacja poznawcza oznaczałaby jednak kompletną dezorganizację istniejących kategorii pojęciowych i systematycznych.

Analogia nie może więc być rozumiana jako związek na poziomie podobieństwa cech dwóch różnych zjawisk lub obiektów. Związek analogii jest czymś o wiele głębszym niż zwykle podobieństwo cech, gdyż zachodzi na poziomie podobieństwa relacji (stosunków) między cechami jednego zjawiska oraz drugiego.

<sup>33</sup> Z rozmaitej natury niejasności co do metody i celu badań literackich zdawano sobie sprawę już w XVIII i XIX w., co pokazuje praca wcale nie nowa M. Manna: *Rozwój syntezy literackiej od jej początków do Gervinusa*, Kraków 1911, s. 44-130.

<sup>34</sup> G. Kowal, *Friedrich Nietzsche w publicystyce i literaturze polskiej lat 1919-1939*, Warszawa 2005, s. 274.

W analizowanych przykładach rozumowań analogicznych podstawą analogii nie było podobieństwo wyizolowanych cech pojedynczych, lecz podobieństwo relacji między cechami<sup>35</sup>.

Chciałem w tym miejscu omówić szerzej teksty klasyka (klasyczki?) interpretacji: Olgi Freudenberg (1890-1955). Lektura wstępu Wincentego Grajewskiego *Fenomen Freudenberg*, w którym 13 z 31 stron zajmuje opowieść o dydaktycznych i lekturowych przygodach samego Grajewskiego, kilkanaście kolejnych stron przywoływanie szerzej nierozwiniętych nawiązań do XX-wiecznych badaczy kultury, a kilka stron poświęcono samej Freudenberg, uświadomiła mi, iż sam ten wstęp mógłby posłużyć za przykład i materiał do badania ED. Tu właśnie padają u Wincentego Grajewskiego także nazwiska „pobratymców” Olgi Freudenberg: Claude Levi-Strauss, Jean-Pierre Vernant, Pierre Vidal-Naquet, Marcel Detienne, Nicole Leraux, Florence Dupont, Northrop Frye, Michał Paweł Markowski, Giorgio Agamben, Aleksander N. Wiesielowski, Aleksander A. Potebnia, Aba Wartburg, Ernest H. Gombrich, Żebieliov, Georges Didi-Huberman, Ernst Cassirer, Hermann Usener, Zygmunt Freud, Borys Eichenbaum, Borys Pasternak, Jurij Łotman, Iwanow, Władimir Toporow, Josif Szklowski, Jurij Tynianow, Michaił Bachtin, Wołoszynow, Miedwiediew, Anna Protopopowa, N. Perlina – prawdziwy popis ED!

W tym przypadku za konkluzję wystarczyłoby zdanie Grajewskiego: „Freudenberg jest w swoich pracach skupiona na wybranym obiekcie, wciągnięta bez reszty w jego alogiczną logikę, porusza się w nim z niezwykłą swobodą, braną przez niektórych filologicznych cenzorów za lekkomyślność i niefrasobliwość”<sup>36</sup>. Nie miejsce to na refleksję o zasadności tych oskarżeń. Trzeba jednak powiedzieć, że wyobrażenia Freudenberga pracuje na najwyższych obrotach. Wystarczy tu za dowód esej pod tytułem *Krzyż w mogile*, gdzie od wyjściowego obrazu Chrystusa złożonego w grobie, do którego to grobu przybywają „Maria Magdalena, druga Maria czy zgoła grupa kobiet”<sup>37</sup> (kto wreszcie!), przechodzi uczona do

opowieści (znanej jako „wdowa z Efezu”) o niepokieszonej żonie, oplakującej zwłoki męża. [Rzecz ma się dalej tak:] Ujrzał ją żołnierz, nakłonił do jedzenia i picia, i z miejsca połączył się z nią cielesnie. Żołnierz ów pilnował trupów ukrzyżowanych łotrów, by nie wykradli ich krewni. W rzeczy samej, kiedy zabijał czas z wdową, jeden z trupów zniknął. Wówczas ona, pragnąc uchronić swego przypadkowego kochanka od kary, wydaje na krzyż ciało oplakiwanego męża<sup>38</sup>.

<sup>35</sup> A. Biela, *Analogia w nauce*, Warszawa 1989, s. 25.

<sup>36</sup> W. Grajewski, *Fenomen Freudenberg*, [w:] O.M. Freudenberg, *Semantyka kultury*, red. G. Ulicka, Kraków 2005, s. XVII-XXI.

<sup>37</sup> Tamże, s. XXI.

<sup>38</sup> O.M. Freudenberg, *Krzyż w mogile*, przeł. T. Komendant, [w:] tejsze, *Semantyka kultury*, s. 57.

Z kolei Freudenberg omawia „wersję” tej opowieści ze *Złotego osła* Aplejusza, z opowiadania starohinduskiego, z Petroniusza, z Boccaccia noweli *Zmartwych wstały*, z figury „błazeńskiego króla”, „który na moment zawieszenia czasu był zmuszany do jedzenia, picia i spółkowania z kobietami królewskiego haremu, z Esterami, z hierodukami, z nałożnicami króla”<sup>39</sup>. Potem jeszcze Saturnalia i figura odwołania do autorytetu: „Angielski antropolog Patton mówi, że ukrzyżowanie Chrystusa między dwoma łotrami jest częścią obrzędu Sakejów [...]”<sup>40</sup>. Na koniec *Uwielbienie krzyża* Calderona de la Barca zostaje przywołane, by dowieść: „Ta zrodzona z idei płodności fabuła ma jednak dawniejszy wariant, czysto solarny, który dotarł do nas w *Uwielbieniu krzyża* Calderona”<sup>41</sup>. To w tej opowieści: „Relacje zakochanego i zakochanej (Marduk – Belit) dublowane są tu związkami krwi siostry i brata (Mojżesz – Miriam)”<sup>42</sup>. Powróćmy do początku eseju Freudenberg. W czwartym fragmencie wykłada ona sens swej narracji naukowej, wyjawia wyniki: „A zatem w opowiadaniu o chutliwej żonie ukrywa się opowieść o dobroczynnej sile aktu seksualnego, który wyzwala prokreacyjne moce śmierci”<sup>43</sup>. Wiemy już, po co „Maria Magdalena, druga Maria czy zgoła grupa kobiet” przybyły do pustego grobu Chrystusa, gdzie przecież znajdują przynajmniej owych „przerażonych wartowników”, by wespół z nimi ze śmierci wykrzesać „prokreacyjne moce”. Sprawdzić, co jasne, tego wszystkiego nie sposób.

EFEKT DOMINA jest tu wspaniale uwidoczniiony: od Chrystusa do Calderona i potem z powrotem: od Calderona aż do „solarnych” prawariantów opowieści. W jakimś sensie wywód Freudenberg znamionuje finezja – nie bada ona prostych analogii, ale głębokie analogie struktur między narracjami z różnych epok. Nie zmienia to prawdy, że nad tego typu wywodem – zaraz „wypalę” metaforą – unosi się duch wprost nieopanowanego nieprawdopodobieństwa. Olga Freudenberg nie jest Jamesem Frazerem, dlatego mniej jej uchodziło. Nie napisała też *Złotej gałęzi*, co najwyżej, rzec by można, iż esej ten to gałązeczka skrzydlata, którą wyobraźnia poniosła daleko, hen za granice sprawdzalności tego, co nam właściwie mówi owa opowieść o żołnierzu i chutliwej żonie.

Skoro wszyscy, to czemu nie ja? A zatem posłużę się ED. Zamiast puenty – Woolf: „Jak rozkosznie! – dodała, wachając zerwaną gałązkę werbeny”<sup>44</sup> (co to właściwie za puenta?!)

---

<sup>39</sup> Tamże, s. 59.

<sup>40</sup> Tamże.

<sup>41</sup> Tamże, s. 60.

<sup>42</sup> Tamże.

<sup>43</sup> Tamże, s. 58.

<sup>44</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, s. 100.



## Mgławice (i) wartości

Tak, wiem, pora, by formułować wnioski. Nie mogę jednak odmówić sobie przywołania jeszcze jednego przykładu ED; tym razem znajdziemy się, by to tak określić, na szczytach ducha. W 1998 roku redakcja „Tekstów Drugich” zainicjowała teoretyczną dyskusję na temat współczesnego rozumienia pojęć tekstu i interpretacji. Dysputa owa stanie się pewno kiedyś tematem rozprawy doktorskiej, dlatego nie o samych pojęciach chcę tu pisać, ale o tym, co pojawiło się niejako o b o k głównego tematu: chodzi o kwestię języka, jakim posługują się mistrzowie humanistycznej, najbardziej wyrafinowanej refleksji metakrytycznej. Bardziej szczegółowo: idzie o kwestię stopnia metaforyzacji dyskursu teoretycznoliterackiego, a zatem także o efekt asocjacyjnego domina. Wiadomo: ED uwielbia posługiwać się metaforą, w zasadzie na niej pasożytuje (teraz u mnie gości metafora)<sup>45</sup>.

Metafora ma w sobie pewien potencjał atrakcyjności, gdy chodzi o wysławianie niewysłowionego. Wolno zakomunikować, że wabi ona wyobraźnię nawet najmniej na nią podatnego, logicznego umysłu, przyciąga go i w jakiś sposób obezwładnia, zniewala. Cóż dopiero, gdy mamy do czynienia z umysłem, dla którego myślenie obrazowe jest punktem wyjścia myślenia w ogóle, a nie ratunkiem w sytuacji opresji lub impotencji w chwili, gdy trzeba wyrazić treści, myśli umykające słowu. EFEKT DOMINA pojawi się wtedy niezawodnie. Raz podjęta inicjatywa mówienia metaforą przyniesie konsekwencje w postaci kolejnych i kolejnych metaforyzacji. Wystarczy wtedy, by ów „metaforysta” wypowiedział zdanie z gatunku tych, którymi wymieniają się w znudzeniu bohaterowie powieści: „Coś takiego jak cisza nie istnieje – oświad-

<sup>45</sup> Wiązałbym ten związek ED z metaforą z jej (z jednej strony) otwartością asocjacyjną, jak też (z drugiej...) z tym, co badacze nazywają *efektem ogniskującym*: „Oprócz głównej, wyjaśniającej funkcji metafory oraz jej twórczego potencjału, należy jeszcze wymienić ostatni aspekt, również będący elementem rozpatrywania metafory pod kątem jej funkcji: jej *efekt ogniskujący*. Aby zrozumieć, co się pod tym kryje, musimy na początek stwierdzić istnienie pewnego ograniczenia kognitywnej zdolności wyjaśniającej metafory: «Metafora jest naszym podstawowym narzędziem do częściowego rozumienia tego, co nie może być rozumiane całkowicie». Metafory dostarczają jedynie cząstkowego opisu względnie objaśnienia danej domeny docelowej, które jedne aspekty uwydatnia, a inne ukrywa: «Ta sama systematyczność, dzięki której możemy zrozumieć jeden aspekt jakiegoś pojęcia w terminach innego pojęcia [...], jednocześnie musi powodować ukrycie innych aspektów tego samego pojęcia. Pozwalając nam skupić uwagę na jakimś aspekcie pojęcia [...], pojęcie metaforyczne uniemożliwi nam jednoczesne skupienie uwagi na innych aspektach, nie mających związku z daną metaforą». Objasnienie to ma dlatego charakter cząstkowy, ponieważ metaforyczny *eksplanans* dostarcza ni mniej, ni więcej tylko modelu wyobraźniowego dla *eksplanandum*. Sam z siebie działa, podobnie jak każdy model, jednostronnie, selektywnie i upraszczająco” – O. Jäkel, *Metafory w abstrakcyjnych domenach dyskursu. Kognitywno-lingwistyczna analiza metaforycznych modeli aktywności umysłowej, gospodarki i nauki*, tłum. M. Banaś, B. Drąg, Kraków 2003; O. Jäkel cytuje pracę: G. Lakoff, M. Johnson, *Metaphors We Live By*, Chicago–London 1980, s. 32.

czył niepodważalnym tonem<sup>46</sup>, ażeby rozpętać burzę. Pan metaforyzuj! – zakrzykną oponenti... Czy sprawiedliwie?

Coś takiego właśnie powiedział Wojciech Kalaga w tekście inauguracyjnym dyskusję o „tekście”. Już jego tytuł był rękawicą rzuconą adwersarzom: *Granice tekstu – mgławice tekstu*<sup>47</sup>. Tedy od rozumnego pojęcia „granicy tekstu” przeszedł rychło ku podszytej kosmicznym rozmachem metaforze mgławicy. Pięknie! Kalaga określił trzy stanowiska definiujące granice tekstu, przy czym za każdym razem posłużył się nieco odmiennymi strategiami prezentacji zagadnienia.

„Pierwsze i najbardziej rozpowszechnione z tych stanowisk u j m u j e t e k s t j a k o o b s z a r r a d y k a l n i e z a m k n i ę t y ” (6). Zauważmy już tu zaczątki metaforyzacji obrazowej: tekst = obszar. Na to zgoda, jak inaczej można by to wyrazić? Zaraz potem autor studium rozpoczyna wątek genetyczny. Tradycje takiego pojmowania tekstu usadowił w arystotelizmie, wsparł na filarze kartezyjanizmu i w końcu przerzucił most ku strukturalizmowi, a więc „tradycji, dla której całościowość i wyraziste odgraniczenie stanowi naturalną właściwość rzeczy” (6). Lecz tego było mało. Żeby więc wytłumaczyć „holistyczną” myśl Arystotelesa, Kalaga sięgnął po... „pudełko”: „Dla Arystotelesa (w *Physiké akróasis*) całość to coś, czego żadna część nie pozostaje na zewnątrz, np. człowiek lub pudełko. Każdy zatem tekst, będąc taką całością – takim «pudełkiem» – stanowi ograniczony i odgraniczony byt” (6). Wydaje się, że pierwsze zdanie tego wywodu zostało tak skonstruowane, iż w konsekwencji nie ma nic wspólnego z drugim zdaniem. Z pierwszego wynika bowiem, że „człowiek czy pudełko” miałyby pozostawać na zewnątrz jakiejś całości, podczas gdy z drugiego wynika coś zgoła innego: że to one – „człowiek lub pudełko” – są ową całością! Poza tym wyjaśnienie błahej myśli za pomocą tego typu obrazu jest, jak sądzę, niepotrzebne. Podobnie jak erudycyjny ED, któremu uczony zaraz ulega. „Nowa Krytyka amerykańska”, Jurij Łotman, Boris Uspienski, J.B. Thompson, S.I. Gindin, a nawet Maria Renata Mayenowa służą za dowód naukowej koncepcji autora, który tego typu wsparcia za pomocą figury autorytetu-cytatu nie potrzebuje.

Drugą strategię Kalaga nazywa „polaryzacją tekstu”:

Polega ono [stanowisko] na dążeniu do zachowania nie zmienionej i immanentnej struktury wnętrza tekstu przy jednoczesnym uzmysłowieniu sobie konieczności zmian w nim samym lub w jego relacjach z uniwersum interpretacyjnym. Polaryzacja zakłada zatem z jednej strony zamknięcie tekstu, z drugiej zaś szuka teoretycznie uzasadnionego otwarcia dla zewnętrznej interwencji, szczególnie zaś dla interwencji postrzegającego podmiotu (8).

<sup>46</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, s. 101.

<sup>47</sup> W. Kalaga, *Granice tekstu – mgławice tekstu*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4. Numery stron z artykułu podaje w nawiasie zaraz po cytacie.

Uświadamiamy sobie w tym właśnie – z pozoru posiadającym tylko dyskursywny charakter – miejscu, iż fundamentalna struktura myśli Kalagi ma charakter obrazowy, a nie logiczny, nie dedukcyjny. U podstaw całej jego koncepcji leży obrazowa metafora określonej przestrzeni obrysowanej przez granicę. Ta obrazowa podstawa ma wymiar dynamiczny. Granica rozdziela wewnętrzną przestrzeń ograniczoną (sfera „tekstu”) i zewnętrzną przestrzeń świata („nie-tekst”, interpretatorzy i „nie-interpretatorzy”). Linia graniczna otwiera się i zamyka<sup>48</sup>. W zależności od stopnia uchylenia drzwi granicy (znowuż i ja metaforyzuję metaforę...) otrzymujemy takie lub inne stanowisko teoretycznoliterackie. Jakie są tego konsekwencje? Poważne. Najpierw dostrzeżmy u Kalagi trudność w przełożeniu obrazu na język logicznego i stylistycznie akceptowalnego wywodu, stąd mało szczęśliwe wyrażenie „otwarcie dla zewnętrznej interwencji” (raczej na zewnętrzną interwencję). Po wtóre, siew obrazowy studium – po „przepisaniu” obrazu na ciągi erudycyjnych wywodów – i tak musi w konsekwencji zaowocować kolejnymi obrazami, a więc metametaforyzacjami. Można spodziewać się ED.

Omawiając trzecie stanowisko, rozwinął Kalaga zatem kolejną metaforę. Po polaryzacji (łac. *polaris* – „polarny”, z *polus* – „biegun, niebo”) przyszła pora na moment, gdy „granica ulega nieodwracalnej perforacji” (łac. *perforare* „przewiercić, przebić”), a po tym jej przewierceniu można już wprowadzić tylko z pozoru statyczne, dostojnie naukowe pojęcie osmozy (gr. *osmos* „impuls, ciśnienie”), a więc proces, którym zajmują się takie nauki, jak biologia czy chemia (11). Wojciechowi Kaladze idzie o jego obrazowy wymiar: oto proces, w którym granica jest w sposób naturalny „nieszczelna”, umożliwiając przenikanie materii z jednej na drugą stronę. Granica pozostaje, ale dokonuje się na całej jej przestrzeni uchylenie, otwarcie szczelin, przez które dochodzi do wymiany. A dalej „osmotyczny charakter tekstu” zostaje zakorzeniony źródłowo w „uniwersalnym charakterze zasady dialogiczności”. Co to znaczy? –

Ślady dialogu, które słowo – lub szerzej znak, obraz, fragment dyskursu – niesie w sobie, żyją w nim także w chwili, gdy staje się ono częścią tekstu. Wtedy też wnosi słowo do tekstu ze sobą wszystkie te „zapachy” i intencje, które stały się jego udziałem. Rama ograniczająca tekst i decydująca o jego tożsamości musi zatem pozwalać na wzajemną osmozę, wzajemne przenikanie i wymianę między wnętrzem i zewnątrz tekstu (11).

Mógłbym w tym miejscu zakrzyknąć jak bohater powieści Woolf: „Panie mój, cóż widzę i co słyszę?”<sup>49</sup>. Ale nie zawołam tak, gdyż obrazowe, metaforyczne eksplikacje

<sup>48</sup> Zob. studia: E. Kuźma, *Dekonstruowanie i rekonstruowanie granicy Jacquesa Derridy: „La dissémination”*, Niklas Luhman, *„Die Kunst der Gesellschaft”*; W. Owczarski, *Granice świata. Leśmian, Schulz, Kantor*; oba [w:] *Granice w literaturze. Tekst – świat – egzystencja*, red. S. Zabierowski, L. Zwierzyński, Katowice 2004.

<sup>49</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, s. 86.

sensu osmotycznej koncepcji tekstu łatwo było przewidzieć. Jakież są one jednak sensualne: ślad (dotyk i wzrok), ślad żyjący (witalność organizmu), zapachy i intencje słowa (węch, antropomorfizacja słowa, które jak człowiek ma „intencje”), „tożsamość tekstu” (figura tekstu jako osoby), no i osmoza (ruch przenikania z wnętrza do zewnątrzna *et vice versa*).

Wreszcie czwarta strategia ujęcia tekstu, która jest konsekwencją przyjęcia u podstawy myślowej obrazowych konstytuant: granicy i rozgraniczenia, zakłada ich zniesienie, „wymazanie wszelkich granic tekstowych”, która to myśl „wywodzi się z pewnej popularnej wersji dekonstrukcji – nazwijmy ją wersją kampusową [...]” (12). O, tu interpretator tekstu przeszedł ku innej strategii ED, i to tej mianowicie, która ufundowana jest na wartościowaniu. W tym przypadku epitet „kampusowa” służy chyba jednak dyskredytowaniu, co daje się wyczuć w tonacji, jaką przyjmuje – zdystansowanej, jeśli nie ironicznej:

Pojęcie tekstu zostaje całkowicie zastąpione pojęciem tekstualności jako nie-różnicowanego pola wolnej gry znakowej poruszanej motorem dyseminacji. [...] Granica między tekstem a nie-tekstem przestaje być potrzebna, bowiem nie ma już nie-tekstu: wszystko staje się formą tekstu ogólnego (general text), czyli „nieograniczonej sieci różniących się od siebie znaków, której nie poprzedza jakiegokolwiek znaczenie, struktura, czy eidos, a która sama z siebie je ustanawia”. Stan taki budzi przyjemny, bowiem tylko tekstualny niepokój i skłania (nie)jednego z teoretyków do pokoleniowych okrzyków w rodzaju: „Świat jest tekstem. Nic nie potrafi się oprzeć. Nie ma ucieczki” (12)<sup>50</sup>.

„Przynajmniej niepokój”, „pokoleniowe okrzyki” – wyrażenia te świadczą o zdystansowaniu: ostrym i nawet w pewien specjalny sposób nieprzyjemnym, gdy w kolejnym akapicie badacz deklaruje: „Nie sposób zaprzeczyć – a piszę to jako wyznawca [sic! sic! – J.Ł.] – iż tekstualizm jest stanowiskiem atrakcyjnym teoretycznie [...]”; i zaraz dodaje, że nie dotyczy to tylko „pop-wersji” tekstualizmu (12). Nie sposób Kaladze tu zaufać. Chodzi o coś innego: po prostu manifestuje on jeszcze jedną odmianę ED: formalistyczną, polegającą na popisywaniu się w tym przypadku estetyczną bronią, taką jak ironia, i oratorskimi, czysto retorycznymi zdolnościami, które wyrażają się w stylistyce jego pracy. Czyni to wywód żywym. Ale: czy jest potrzebne w tekście tak gęstym semantycznie? Czy potrzebna jest tu ironiczna figura wyznawcy będącego w istocie przewrotnym i dwulicowym przeciwnikiem?

<sup>50</sup> W. Kalaga cytuje: S. Critchley, *The Ethics of Deconstruction: Derrida and Levinas*, Oxford and Cambridge 1992, s. 38. Ten cytat komentuje w przypisie z odrobiną cynizmu: „Posługuję się tu cytatem z książki Critchleya w kontekście nieco ironicznym; w żadnej mierze nie oznacza to jednak dezawuowania wartości tej pozycji i jej wkładu w dyskusję nad problemem etycznych konsekwencji tekstualizmu”. Drugi cytat z: V.B. Leitch, *Deconstructive Criticism. An Advanced Introduction*, New York 1983, s. 53.

W końcu interpretator zaprowadza w tym imaginariu (tak! nie nazwę tego światem teoretycznego dyskursu...) porządek właściwy jego rozumieniu „tekstu”:

W przeciwieństwie do takich „czytelniczych” rozwiązań teoria, którą proponuję, ujmuje tekst nie jako aktywację pewnej potencjalności przez odbiorcę, a jako złożony i sam z siebie już aktywny konglomerat potencjalności: jako mgławicę skomplikowanych relacji niezależnych od aktualnego aktu odbioru i efektywnie poprzedzających każdy taki akt<sup>51</sup>. Chcę podkreślić w tym miejscu, iż tę aktywność znaku czy tekstu rozumiemy w kategoriach potencjalności, ale nie pasywności. Oczywiście, odbiorca aktualizuje pewną potencjalność tekstu, ale tekst jako aktywny konglomerat potencjalności jest uprzedni względem odbiorcy i istnieje niezależnie od niego. Istnienie tekstu znaku zawiera się w interpretacji przez inne znaki. Poznanie rozumiane jako system przekładów w żadnej mierze nie może być ograniczone do indywidualnego umysłu czy do konkretnego aktu poznawczego [zob. wyjaśnienia niżej]. Śladem Peirce’a odwróćmy tradycyjny pogląd na poznanie: poznanie jest nie tylko niezależne od indywidualnego umysłu, ale samo poznanie aktualne jest wtórne względem poznania jako kategorii. W podobny też sposób procesy semiotyczne, zachodzące w czasie odbioru tekstu, są wtórne względem procesów zachodzących w samym tekście na skutek jego relacji z dyskursem, systemem czy znakowym uniwersum (19-20).

Pozostawiam czytelnikowi zdekodowanie tego przekazu. Nie jest on, bo też i być nie może, jednoznaczny. W jego centrum stoi oto, opozycyjne wobec wszystkich koncepcji ukształtowanych na obrazie tekstu jako przestrzeni obrysowanej przez granicę, wyobrażenie niczym nieograniczonej „mgławicy”, czyli: 1) „skupienia gazu i pyłu będącego zagęszczeniem materii międzygwiazdnej lub rozległą otoczką wokół gwiazdy, czasem pobudzonego do świecenia przez światło gwiazd położonych w pobliżu”; 2) o mgławicy mówimy jako o „przen. a) czymś przypominającym mgłę, obłok”, b) „o czymś niejasnym, niewyraźnym, nieokreślonym, niesprecyzowanym, nieuformowanym, nie mającym wyraźnych kształtów, zarysów”<sup>52</sup>. Właśnie! Złośliwiec powiedział, że u Kalagi ED wystrzelił nas w kosmos i to daleko poza Układ Słoneczny. W przeciwnym kierunku niż koncepcje Charlesa Sandersa Peirce’a<sup>53</sup>.

Na Kalagę posypały się gromy, choć usiłował on doprecyzować obraz tekstu-mgławicy w długim wywodzie (20-32). Nie mógł już jednak uciec od obrazowości, metaforyzowania i erudycyjnej podstawy, której zaprzeczenie (teoria znaku Peirce’a) kon-

<sup>51</sup> W tym miejscu W. Kalaga daje taki fundamentalny przypis: „Interpretacja dokonywana przez konkretnego odbiorcę polega na dialogicznym postrzeganiu owych relacji” (przyp. 34, s. 19).

<sup>52</sup> *Słownik języka polskiego*, red. M. Szymczak, t. 2: *L-P*, Warszawa 1979, s. 149-150.

<sup>53</sup> O filozofii C.S. Peirce’a (1839-1914) zob. F. Copleston, *Historia filozofii*, t. 8: *Od Benthamy do Russela*, przeł. B. Chwedeńczuk, Warszawa 1989, s. 309-335. W. Kalaga korzysta z: C.S. Peirce, *Collected Papers*, t. 1-8, Cambridge Mass. 1931-1958.

stytuowało jego zamysł. Dodał do tego (dość banalne) wywody etymologiczne<sup>54</sup>, niezbyt przekonujący rysunek terminologiczny (patrz odwołania do Barthes'a i Derridy), przejął metaforykę Barthesowską, jakby mało było jego własnej: „«Tekst łączy się z rozkoszą [jouissance], z upojeniem bez reszty». To, czego Tekst zatem żarliwie potrzebuje, to siedliska doświadczenia [...]» (23)<sup>55</sup>. Wyjaśniając własną obrazową metaforę mgławicy tekstowej, dał się zwieść ED, porwać obrazowości jeszcze wyższego stopnia, przy czym działa się to przy pełnej świadomości, że on, Kalaga, mówi metaforą:

Te dwie fundamentalne, moim zdaniem, właściwości tekstu – jego przestrzenność i dynamikę – uchwytuje natomiast metafora tekstu jako holograficznej mgławicy, której ukształtowanie współokreślane jest, z jednej strony, przez uwikłanie tekstu w relacje z interpretacyjnymi paradygmatami, zaś z drugiej – przez ruchy i transfiguracje w zbliżonych (semantycznie i metonimicznie) segmentach przestrzeni semiotycznej. Chcę podkreślić, iż ta metafora nie jest narzuconym na pojęcie tekstu ornamentem, ale sama narzuca się jako najbardziej adekwatne wyobrażenie działania tekstu – znacznie bardziej adekwatne niż tekstura, tkanina czy tkanka. Co jednak ważniejsze to fakt, iż metafora ta oddaje najistotniejszą właściwość tekstu: nie dopuszcza ona bowiem granicy rozumianej jako rama, krawędź, obręb, kontur, skraj, obrys, czy parergon: tak pojmowana granica nie mieści się w zakresie słownictwa, które metafora mgławicy generuje lub na które zezwala (26).

Niemniej jednak, urok metafory wyczerpuje się w jej nadużyciu. Jak wtedy, gdy uczony obwieszcza, że „[...] w samym sposobie istnienia tekstu zawiera się konieczność rozprzestrzeniania, prokreacji, ustanawiania nowych relacji i zmiany już istniejących” (27). Prokreacja! Prokreacja relacji. „Nie do wiary – odrzekł pan Salvin”<sup>56</sup>. Tak właśnie, przywołując na pomoc ED, skomentuję inwencję obrazotwórczą teoretyka mgławic. Na jego głowę, jeszcze w tym samym numerze periodyku, posypały się gromy. Za co? Za metaforę.

Edward Możejko w krótkim „tekściku” zbudowanym podług klasycznej zasady „konwencjonalna pochwała/zasadnicza nagana” zauważył z atencją: „Oryginalność teoretycznej propozycji Profesora Kalagi widzę w deficycie tekstu jako kategorii ontologicznej opartej (czy wspartej) na metaforze mgławicy [...]”<sup>57</sup>, co jednak pozostało w sprzeczności z jego lęklivymi uwagami:

Wydaje się też, że byłoby rzeczą wskazaną [tryb przypuszczający! – J.Ł.], aby autor ostrzej sprecyzował, o jaki tekst(y) mu chodzi. Jeśli dobrze zrozumiałem

<sup>54</sup> Typu: „Podążanie w kierunku celu – w kierunku *telosu* – jest ruchem; sam cel, *telos* – jest tym, co stabilne, co zamyka ów ruch, i co jest ostateczne (po angielsku *ultimate*, które wywodzi się z łacińskiego *ultimare* – zakończyć się, *ultimus* – ostatni)” (17).

<sup>55</sup> Cytat w cytacie z: R. Barthes, *From Work to Text*, London 1989, s. 80.

<sup>56</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, s. 149.

<sup>57</sup> E. Możejko, *O tekście Profesora Kalagi*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 37.

[czyli: właściwie nie zrozumiałem... – J.Ł.], z jego wywodów wynika, że tekst utożsamiony jest z dziełem literackim<sup>58</sup>.

Chcąc dogodzić powadze autorytetu i zarazem wyrazić wątpliwości wobec „Profesora Kalagi”, autor odwołał się do logicznej sprzeczności:

Jednakże kwestie dotyczące np. tekstu [ale Kalaga pisze tylko o tekście – J.Ł.], są, powiedziałbym, szczególnie „czułe” i dlatego wymagają m i m o w s z y s t k o dokładniejszych sformułowań czy uzasadnień. N i e p o d n o s z ę tego jako zarzutu pod adresem świetnego eseju Prof. Kalagi jako całości, a l e w y d a j e m i s i ę, że w niektórych punktach jego wywodów krytyka stanowisk opozycyjnych nie jest m o ż e skierowana na właściwy cel i m o g ł a b y p ó j ś c dalej [podkr. – J. Ł.]<sup>59</sup>.

O, święta wstrzeźliwości; o, skromna prostoto! Uczony polemista boi się tu wyrazić jasno swą opinię, wije się w labiryntach trybu przypuszczającego (ED!), gdy tymczasem chce powiedzieć: myślę inaczej.

Podobnych lęków nie miał Andrzej Zybertowicz, a raczej miał je, ale odrzucił w zdaniu, które wskazuje na chorobliwą wręcz w Polsce potęgę autorytetu w humanistyce, gdzie przecież nieskrępowana dyskusja powinna być podstawą funkcjonowania dyscypliny:

Andrzeja Szahaja znam na tyle dobrze, by ufać, że nie obrazi się – cokolwiek napiszę; Wojciecha Kalagi poza-tekstowo nie znam wcale; w dodatku pracujemy w innych branżach (mało prawdopodobne jest, by np. recenzował kiedyś mój wniosek profesorski) – i tu zatem mogę pisać bez obaw...<sup>60</sup>

Andrzej Zybertowicz zaatakował więc bez pardonu „urodzone metafory wiodące narrację WK”, „złoście umiarkowanie” Wojciecha Kalagi, który „razy rozdając z równą mocą na lewo i prawo”, jednak „się myli” (62–63). Atakuje „olimpijskość” WK, który „stacza się w stary i porzucony [...] futerał filozofowania i apriorycznie twierdzi [...]” (63). W końcu dobija adwersarza: „Tyle w tym jasności, co w chmurze gradowej; może jednak to właściwe w tekście spójnym mgławicowością treści i formy” (63), albowiem „Z punktu widzenia empirycznych, historycznych, socjologicznych, literaturoznawczych badań metaforyzowanie takie jest niepotrzebne” (65). Andrzej Zybertowicz, który został potem hunwejbinem IV RP, jednym z najostrzejszych zwolenników prawicy, lustracji i dekomunizacji, już w tekście z 1998 roku bez subtelnosci przedstawiał się jako zwolennik silnej władzy, mocy i prawa jako środków określających także co jest, a co nie jest tekstem. W imię czego? Oczywiście! – etycznego porządku. Kilka cytatów:

<sup>58</sup> Tamże, s. 59.

<sup>59</sup> Tamże.

<sup>60</sup> A. Zybertowicz, dz. cyt., s. 61. Kolejne numery stron oznaczam w tekście głównym po cytacie.

Dopóki wydawnictwa mają swoich redaktorów i dopóki ci podejmują decyzje, ich działanie zapewnia wyznaczanie granic tekstów. Władza jako taka jest zawsze lekarstwem na groźbę chaosu i nihilizmu (63).

Zauważmy też, że wiedzy o swoim rozumieniu etyczności WK nas pozbawia. A etyka – podobnie jak władza – potrzebuje odróżnień. O niebezpieczeństwach związanych z majstrowaniem przy podstawowych społecznych rozróżnieniach pisano niejednokrotnie (64).

Tekst „mówi” tylko wtedy, gdy ktoś daje głos w jego imieniu. Wbrew WK, nie widzę żadnej ontologicznej – w sensie: metafizycznej, pozaempirycznej, esencjalnej, poza-społecznej, poza-kulturowej – konieczności rozrywania granic tekstu. Bywa on rozrywany przez konkretne siły społeczne, których takim a nie innym potrzebom (interesom) to służy. [...] Na wszelki wypadek – gdyby WK nie wykluczał nawrócenia lub choćby tylko *communii* – nieco więcej powiem o opcji swojej (66).

W tym sporze pozostaną po stronie Kalagi. Andrzej Zybertowicz zaproponował totalizm społecznych i prawnych, określanych przez władzę, granic dyskursu. Metafory Kalagi, by tak użyć efektu *domina*, są niewinne i twórcze, choć pisze on o mgławicach iście mgławicowo. Apeluje do wyobraźni. U Zybertowicza – i to pułapka, w którą on sam wpada – pleni się... metafora. Andrzej Zybertowicz, chłuszcząc metaforę Kalagi, sam sięga po metafory i ironię, a właściwie jadowite metafory i ironijki. Nie umie zniszczyć praobrazu Kalagi (mgławica), proponuje więc, a właściwie narzuca aksjomaty. Do tego jeszcze – trudno mi zgadnąć po co? – określa swój status akademicki jako doktora habilitowanego. Najpierw mamy więc przyjąć raz na zawsze, że:

[...] WSZYSTKO CO JEST, PODLEGA WYJAŚNIANIU W TRYBIE HISTORYCZNO-SOCJOLOGICZNYM. Dokładniej, wszystko, co jest wyróżnione pojęciowo, to wytwór społeczny i jako taki podlega wyjaśnianiu socjologicznemu. Wszystko, o czymkolwiek możemy mówić, ma naturę kulturową i – jako takie – ma swoją społeczną genezę oraz podlega uwarunkowaniom, które socjologia może starać się określić (70).

– a potem przyjąć do wiadomości („Tytuł mojego wykładu habilitacyjnego” – informuje autor w przypisie 19):

Zróbmy to, czego wielu z NAS (intelektualnych groszorbów) tak się boi, czyli stwierdźmy: „JEŚLI NIE MA PRAWDY OBIEKTYWNEJ, TO MOCNIEJ MUSIMY WIERZYĆ W WARTOŚCI NASZEJ KULTURY” (73).

Dziękuję bardzo za taką mądrość. Pozostaną po stronie mgławicy czy nawet gwiazdowego pyłu. Oczywiście, ten spór pokazuje też, jak dalece utopijne jest żądanie wyrugowania metafory z naszej rozmowy o świecie<sup>61</sup>. Ale są metafory lepsze i gorsze. Nade wszystko humanistę mógł obowiązywać wewnętrzny, w wolności przyjęty nakaz

<sup>61</sup> Myślę w tej chwili też o książce K. Stępnika, *Filozofia metafory*, Lublin 1998.



panowania nad metaforyzacją tekstu; nie tyle niemnożenia bytów, ile niepowiększania metaforyczności tekstu ponad konieczną miarę. Jest też – a pisałem tu także o pięknie interpretacji – coś takiego, co można by nazwać „klasą” dyskursu, jego elegancją. Tytuł tekstu Zybertowicza tylko pozornie ustanawia „my”, do którego sam Zybertowicz miałby się zaliczać. Przeciwnie: My – „pogubieńcy” znaczy tu „wy – pogubieńcy”, a pejoratywny wydźwięk tego augmentatywu jest wyrazisty aż nadto. „Pogubieńcy” – ten neologizm należy przecież do tej samej klasy słów co: wykołajeńcy, stracieńcy, a nawet zboczeńcy.

Nie ma myślenia bez metafory, ale też można pamiętać, że metafora nadużyta, niezgrabna lub obraźliwa często myślenie, dialog i wszelką twórczość kończy. Nie mówię już o interpretacji, którą może zwichnąć. U Kalagi – nawet wbrew temu, co pisałem, wbrew licznym ujawnieniom się efektu domina asocjacyjnego – myślenia nie zwichnęła. U Zybertowicza interpretacja tekstu Kalagi – przez swą agresywną metaforyzację skierowaną, o dziwo, przeciw metaforze – doprowadziła do efektu niewiarygodności. Brutalność nie jest twórcza i nie uwiarygodnia. Metafory polemiczne Zybertowicza dokonały samodyskredytacji jego tekstu. Jakby polemista zapomniał o tym, co udanie wydobył Andrzej Szahaj:

O wyższości interpretacji decydują względy pragmatyczne i retoryczne: elegancja, prostota bądź wyrafinowanie (zależnie od kontekstu) walory etyczne, spójność (nigdy nieosiągalny do końca ideał), perswazyjność, odpowiadanie na jakieś istniejące, często jeszcze nieświadome „zapotrzebowanie” jakiejś wspólnoty społecznej czy kulturowej, zgodność z jakimś już istniejącym zespołem przesądzeń kulturowych itd.<sup>62</sup>

Tego zabrakło Zybertowiczowi, tak jak Kaladze zabrakło w pewnym stopniu wycucia, jak daleko w metaforyzacji można się posunąć i jak wiele erudycyjnego materiału można przywołać na poparcie swych i tak arcywieloznacznych tez-obrazów. Czasem zwyciężał tu efekt domina. Spór ów miał przecież jednak kontekst historyczny. Kultury peryferyjne cechuje w ogóle (chyba!) skłonność do erudycyjnego efektu domina, do popisów erudycyjnych. Popiszmy się: parafrazując Abrahama Joshuę Heschela<sup>63</sup>, powiem, że tak jak elokwencja nie jest istotą pobożności, tak erudycja nie jest synonimem mądrości, odkrywczości czy głębi. W żadnym przypadku nie oznacza też erudycja, iż jej posiadacz otrzymał paszport wielkoświatowości i rangę autorytetu. Przeciwnie, bywa przesłona dla kompleksów prowincjuszy i nuworysz. Jak z melancholią westchnął kiedyś Zbigniew Jarosiński: „Prowincja nie ma nic z niepowtarzalnej jedyności macie-

<sup>62</sup> A. Szahaj, dz. cyt.

<sup>63</sup> A.J. Heschel, *Człowiek szukający Boga*, przeł. V. Reder, wstęp S. Heschel, Kraków 2008, s. 179-180.

rzystej krainy. Jest anonimowa, wszędzie taka sama i pozbawiona własnego oblicza”<sup>64</sup>. Źle, gdy prowincją jest cała kultura.

Obrazowość tego sporu uznać zresztą można za *signum temporis*. W 1998 roku powoływanie się na Jacques’a Derridę, Francisa Fukuyamę i Rolanda Barthes’a było w dobrym guście. W 2010 roku po wstrząsach historii, jej „powrocie” – jest *passé*, byłoby przyznaniem się do wstydlivej choroby. Choć więc spór ten ma swój historyczny kontekst, to jego istota pozostaje uniwersalna, tak jak pytanie o to, w którym momencie nasza władza wyobrażenia i kojarzenia powinna zaprzestać przywoływać kolejnych kostek domina, które już niczego nie wnoszą, lecz, przeciwnie, skrywają Sens, dopiero co wyjawiony z takim wysiłkiem interpretatora.

Przewróćmy kostkę domina metafory. Niech krzew będzie „tekstem”, gałązka – znaczeniem: „Kobiety zatrzymały się przy jakimś krzewie. Pani Durrant schyliła się i zerwała z niego gałązkę”<sup>65</sup>. O to właśnie chodzi: o tę gałązeczkę.

## Wnioski, ale hipotetyczne

Od początku zdawałem sobie sprawę z paradoksalności mej sytuacji. Nie sposób pisać o efekcie domina asocjacyjno-interpretacyjnego, nie uruchamiając samemu całego zestawu nawiązań i skoków skojarzeniowych. Więcej jeszcze: w to myślenie, z którego mam teraz wyprowadzić wnioski opatrzone dużym znakiem zapytania, bo to przecież dopiero rekonesans, od początku uwikłane było w znany paradoks epistemologiczny, szczególnie boleśnie odczuwany na gruncie humanistyki. Zanim zaczniemy mówić o granicach tekstu – przyjąć musimy hipotezę/tezę istnienia tekstu. Nim wypowiemy się o ED, skonstatujmy jego istnienie. Jak się wydaje, określenie owych fundamentalnych przedzałożeń możliwe jest nie tylko dzięki procedurom logicznego myślenia, ale nade wszystko wyobrażenia i kojarzenia, a więc zdolności prowadzących potem także do interpretacyjnych nadużyć lub curiosów<sup>66</sup>.

Mimo wszystko nie prowadzi mnie to do poznawczego sceptycyzmu, wyrażonego w często powtarzanych formułach, że „wszelkie poznanie wydaje się albo niemożliwe (gdyby miało być bezzależne), albo zbędne (skoro jego rezultat musi być przynajmniej częściowo znany jeszcze przed zapoczątkowaniem aktu poznawczego)...”<sup>67</sup>. Wydaje się, iż humanistyczną refleksję i interpretację chroni przed przygnębieniem w tym przypadku właśnie to, co czasem też ją potem gubi: umiejętność obrazowego,

<sup>64</sup> Z. Jarosiński, *Posłowie*, [w:] *Doświadczenie prowincji w literaturze polskiej w II połowie XIX i XX wieku*, red. E. Paczoska, R. Chodźko, Białystok 1993, s. 126.

<sup>65</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, s. 92.

<sup>66</sup> Zob. J. Ławski, *O interpretacji kuriozalnej*, [w:] *Edukacja dla przyszłości*, t. V, red. J.F. Nosowicz, J. Gorbacz-Pazera, Białystok 2008, s. 171-188.

<sup>67</sup> Z. Spindel, *Herme(neu)tyzacja psychologii*, „Nauka” 2006, nr 3, s. 56.

zmetaforyzowanego, analogicznego myślenia. Chcę podkreślić: bez efektu domina asocjacyjnego działającego w trakcie procedur humanistycznych nie byłoby w ogóle refleksji humanistycznej, nie byłoby tego, co nazywamy błyskiem, odsłonięciem czy hermeneutycznym samopoznaniem w rozumiejącym ujęciu własnego „ja” podczas głębokiej lektury tekstu, który jest, który w relacji z „ja” poświadcza swoje istnienie i zarazem w akcie rozumienia jeśli nie ontologicznie, to jako głęboka relacja utwierdza pewność istnienia „ja”.

EFEKT DOMINA jest więc jednym z fundamentalnych określników humanistycznej postawy poznawczej.

O ile, oczywista sprawa, interpretujące „ja” zachowuje – nazwę to staroświecko – czujną i roztropną postawę. Wynikałby z tego postulat imaginacyjnej i skojarzeniowej wolności, ale „w ograniczeniu”, które określa sam interpretator. Ewentualnie weryfikuje ją potem recenzent – tu jednak jestem sceptyczny, gdyż recenzje bywają przestrzenią, gdzie ED występuje w postaci wprost spotęgowanej. Nikt i nic nie ustali za nas granicy, poza którą nie należy w pojęciowych, obrazowych, analogicznych i metaforycznych ciągach skojarzeń wychodzić. Nie ma żadnej złotej miarki, która by to określała. W humanistyczną refleksję wpisane są także ryzyko i odpowiedzialność: za słowa, za tekst, który – by użyć antropomorfizacji – też ma swoją „godność”, jest „wartością”. Jakkolwiek rozumiany jako „tekst”, nie może być poniżany jako konfiguracja znaczeń wprawdzie nieskończenie wieloznaczna, ale mająca taki, a nie inny kształt i – *summa summarum* – Sens. Nawet (a może szczególnie!) przy hermeneutycznym ujęciu rzeczywistości tekstowej kategoria odpowiedzialności za interpretację jest nieodzowna.

Interpretator musi też chyba zawsze zdawać sobie sprawę z tego, iż interpretacja jest wyzwaniem, że to jedna z najtrudniejszych przygód, jakie przydarzyć się mogą ludzkiemu umysłowi, a na tej drodze łatwo o satysfakcję z odkryć, których nie ma.

Przejdźcie od fundamentalnych procedur wyjaśniających, ujętych w „kontekście macierzystym”, historycznym i genologicznym tekstu, dokonujące się w trakcie procesu interpretowania, do procedur wykraczających poza literalne i historycznie sprawdzalne, falsyfikowane tezy, do procedur, gdzie badane są na przykład symboliczne, mityczne czy rytualne znaczenia tekstu nie jest nigdy i być nie powinno zerwaniem z tą podstawą, którą można wyjaśnić. Staje się jednak, mimo wszystko, skokiem jakościowym w sferę, gdzie ED może być wyzwalaczem lub poręczycielem fascynujących odkryć, ale i źródłem zguby. EFEKT DOMINA nie prowadzi bowiem zazwyczaj do nadinterpretacji. Ta wpisana została w kondycję interpretatora. Prowadzi za to do semantycznego chaosu i nonsensu, a to już klęska.

EFEKTU DOMINA nie wolno mylić z rozmaitego rodzaju zjawiskami: najpierw *es e - j e m*, który ma własne prawa, dalej *z d y g r e s j ą* asocjacyjną. Jeśli wytrawny badacz czyni nawiasowy wyskok ku jakiejś myśli, jak Wolfgang Welsch w stronę Leibniza,

pisząc o estetyce zwierząt, czy Marta Piwińska w stronę XX-wiecznej ekologii, pisząc o *Królu-Duchu*, nie jest to jeszcze ED w stanie nadużycia, choć działa tu ten sam mechanizm skojarzeniowej kreatywności<sup>68</sup>. Gdyby natomiast owe dygresje czy nawiasowe wtrącenia skojarzeń opanowały każdą stronicę ich dzieł, mielibyśmy nadużycie ED z fatalnym skutkiem dla dzieła. Po wtóre, czasem badacz stosuje to, co nazywamy prowokacją interpretacyjną. Istotnie: można tekst zacząć od prowokującej myśli, na przykład Marcela Prousta, by potem z pełnym profesjonalizmem zająć się choćby koncepcjami wyobraźni w średniowieczu. Czasem bywa i tak, że cały wywód zbudowany jest na prowokacyjnym zestawieniu, jak mądry esej Martina Seela *Szum i rausz*. Doświadczenie graniczne w sztuce i poza sztuką<sup>69</sup>. Po trzecie, istnieje coś takiego, jak zjawiska interpretacyjnej uwertury i epilogu. Badacz musi wprost, nim przystąpi do analiz, przywołać logicznie sprobematyzowaną historię zagadnienia, by przejść do właściwej interpretacji. Czasem zaś zdarza się, że uwerturę zastępuje interpretacyjny appendix opisujący następstwa pewnego zjawiska, choćby z XVI wieku, ujęte na przestrzeni kolejnych wieków. To nie jest ED, o ile oczywiście uwertury czy appendixu nie tworzy się na zasadzie swobodnych ciągów skojarzeniowych<sup>70</sup>.

W końcu nie jest związane z ED zjawisko takiej interpretacji, która choć historycznie nieadekwatna, przykłada do dzieła na przykład XIX-wiecznego klucz XX-wiecznej filozofii czy socjologii, czyni to ze samoświadomością, iż jest to właśnie interpretacja z klucza – niechby heideggeryzmu czy myśli Simon Weil<sup>71</sup>. I jeszcze przypadek osobliwy: ED nie pojawia się tam, gdzie mamy do czynienia po prostu z błędnym skojarzeniem opartym na własnej władzy pamięci, o czym przekonuje interpretacja chybiona takiego mistrza jak Theodor W. Adorno, interpretującego *Ostatnią scenę „Fausta”*<sup>72</sup>.

<sup>68</sup> Zob. T. Breza, *Rozważania o eseju*, [w:] tegoż, *Nelly o kolegach i o sobie*, Warszawa 1983, s. 109-115. W. Welsch, *Estetyka zwierząt*, [w:] tegoż, *Estetyka poza estetyką. O nową postać estetyki*, przeł. U. Guzalska, red. K. Wilkoszewska, Kraków 2005, s. 191; M. Piwińska, *Juliusz Słowacki od duchów*, Warszawa 1992.

<sup>69</sup> Zob. M. Seel, *Szum i rausz. Doświadczenie graniczne w sztuce i poza sztuką*, [w:] tegoż, *Estetyka obecności fenomenalnej*, przeł. K. Krzemieniowa, red. K. Wilkoszewska, Kraków 2008.

<sup>70</sup> Prosty przykład: zanim R. Przybylski w eseju *Starodawne orędzie. O myśli archaicznej* przystąpi do refleksji o Słowackim, przywołuje: F. Nietzschego, T. Różewicza, C.G. Junga, M. Eliadego, orfików, Platona, G. Colliego, P. Ricoeura, L. Kołakowskiego, H. Arendt, E.A. Poego, szamanów. Imponująca uwertura! A może już ED? – R. Przybylski, *Rozhukany koń. Esej o myśleniu Juliusza Słowackiego*, Warszawa 1999, s. 135-139.

<sup>71</sup> Zob. przykład przekonującej i konsekwentnej interpretacji „z klucza”: A. Gleń, *Bycie – słowo – człowiek. Inspiracje heideggerowskie w literaturze*, Opole 2007.

<sup>72</sup> Adorno – jednak niefrasobliwie – dla wywodu o *Fauście* znajduje analogię w wierszu F. Kempner, która miała jakoby użyć przez pomyłkę nieprawidłowej formy. Zamiast *Miträupchen* dała *Miteräupchen* „i w ten sposób, suwerennie dodanym «e», uzupełniła brakującą sylabę w trocheju”. A oto przypis tłumaczki: „Uwaga ta odnosi się do wiersza *Wirklichkeit (Rzeczywistość)* Friederike Kempner (1836-1904), której utwory znane są przede wszystkim z niezamierzonych efektów komicznych. Adorno najwyraźniej cytuje z pamięci: w wierszu tym nie występuje słowo *Miteräupchen*”.

W asocjacjach nierzadko odsłaniają się nasze chcenia; w pamięci odzywa się nie tekst, który jak nam się wydaje pamiętamy, ale to, co chcielibyśmy pamiętać, gdyż pasuje do naszych wyobrażeń o świecie.

Słów kilka o tym „złym” efekcie domina. Jego gruntem i zarazem stwórcą jest władza przedstawiania i kojarzenia: Wyobraźnia, w której, chcąc nie chcąc, ujawnia się całe życie naszej jaźni. Jeśli więc nawet kojarzymy błędnie i ponad miarę, to nigdy przypadkowo. To ona uwodzi myśl tak daleko od maceznika tekstu, że gdy ta myśl już się otrząśnie (ach, to już mój ED!), formułuje wnioski fałszywe, błędne, złe. We władzy kojarzenia można dostrzec dwojakiego rodzaju zjawisko: oparta jest ona na swego rodzaju skoku od tekstu do tekstu, od figury do figury, od zjawiska do zjawiska. Motywacje tego skoku ukryte są często w naszej nieświadomości, ale może on też być wynikiem wysiłonego dążenia, by popisać się najdalej idącą „kreatywnością” w tworzeniu sensów. Towarzyszy temu zjawisku inne: p r z y ś p i e s z e n i a. Jeden związek skojarzeniowy (np. Bruno Schulz → kabała) uruchamia zaraz kolejne, coraz dalej idące (kabała → ezoteryka → kultury poza kontekstem judaistycznym i chrześcijańskim itd.). W jakiś sposób, ale to już rzecz do przemyśleń dla badaczy psychologii procesu twórczego, za szybkość i łatwość kojarzenia jest odpowiedzialna struktura umysłu interpretatora, mniej lub bardziej uzdolnionego imaginatywnie.

Metaforyzacja procesu kojarzenia prowadzącego do nadmiernej swobody i fałszywych wniosków w formule „efekt domina” sama należy do zjawisk rządzących się prawem kojarzenia, a zatem też jest ED, ale tego typu, który nie wykracza poza granice sprawdzalności wniosków. Układanie kostek domina i potem ich jedno- lub wielokierunkowy ruch, polegający na wzajemnym podaniu, łączeniu się, tworzy hipotetycznie nieskończony szereg. Interpretator-asocjacionista najczęściej poprzestaje na kilku, choć bywa, że i kilkudziesięciu, skojarzeniach. Tu też metafora odrywa się od obrazowej podstawy, jaką jest ruch kostek domina przewracających się miarowo tylko w j e d n ą s t r o n ę. Interpretacja rządzi się innym prawem. Fala skojarzeń, gdy osiągnie najdalsze krańce, o d b i j a s i ę i p o w r a c a k u tekstowi, który jest interpretowany. Nadaje mu wtedy znaczenia, jakich on bez uruchomienia ED nigdy by nie posiadał. Powiedzmy: deformuje semantykę obiektu badanego, nanosi na tekst niekonwenujący z nim, niekoherentny – muszą stworzyć neologizm (ED?) – s u p r a t e k s t, jakby nadtekst, który w przypadku interpretacji kuriozalnych całkowicie przesłania tekst wyjściowy. Najczęściej jednak ów supratekst to – jakby rzekł Kalaga – mgławica niepowiązanych ze sobą quasi-analogii, obserwacji, chaotyczny ciąg skojarzeń ideowych czy obrazowych, który zamula, zaciemnia znaczenia pierwotnego tekstu.

---

(współ-gąsieniczka), lecz *Mite-Raupen* (współ-gąsienice)” – T.W. Adorno, *Ostania scena „Fausta”*, [w:] tegoż, *O literaturze. Wybór esejów*, wyb. L. Budrecki, przeł. A. Wołkowicz, Warszawa 2005, s. 31.

Zjawiska wyzwalające ED są różnego rodzaju. Najczęstsze wydaje się nieustępliwe szukanie analogii, paralel. W przeważającej mierze są to zazwyczaj analogie uproszczone i niepotrzebne. Inny charakter ma ED procesu konkluzywnego, gdy ogólny wniosek przeobraża się w nieuprawnioną ekstrapolację. Badacz czyta teksty przez jakiś jeden temat, który nagle zaczyna mu się pojawiać wszędzie. Ot, taki badacz romantyzmu widzi wtedy tendencje romantyczne w każdej możliwej epoce i kulturze (co to jest romantyzm? – oto jest pytanie...). Nawet określając znaczenie pewnego zjawiska dla przyszłości cywilizacji, popaść można w nieograniczoną swobodę wniosków, tak że niejasne staje się owo pierwotne zjawisko. Na innym biegunie ED dotyka wszelkich zabiegów mających określić genezę lub etymologię zjawisk i słów. Pamiętamy romantyczne paronomazje wywodzące Słowian od „sławy” lub „słowa”. Ale „słowo” łatwo dalej zakorzenić w Janowym „Logosie” i wyprowadzić stąd wniosek, że Słowianie to „dzieci Boże”, lud samych Chrystusów, Mesjaszów.

Szczególną pożywkę dla ED stanowi metafora<sup>73</sup>. Staje się ona błogosławieństwem i zmorą humanistyki. Jest nieodzowna, bywa śmiała, zdarza się „epifaniczna”. Jakże często jednak po prostu zaciemnia. Wywód Kalagi, wychodząc z głębi metafory „mgławica tekstu”, porusza się po obrzeżach ED, gdzieś tam granicę przekracza („prokreacja relacji”), lecz zasadniczo nigdzie nie uchybia regule, która mówi, że z taką obrazowo wyrażoną tezą można podjąć dyskusję. No i podjął ją Zybertowicz, potem jeszcze Kalaga odpowiedział mową obrończą *Tradycja – tekst – interpretacja*<sup>74</sup>. Tak, wiem, że „podsumowywanie ludzi nie ma żadnego sensu”<sup>75</sup>. Ale jakże inne są metafory Zybertowicza! Ile w nich jadu: „WK proponuje drogę złotego środka: pomiędzy tym, co nie ma tożsamości, a tym co wyraźne ma granice, są mgławice, obiekty postrzępione, ale nie całkiem rozpuszczone przez dekonstrukcyjne kwasy (wiele) paradygmatycznych gier kulturowych” (62-63). Strzępienie, kwasy dekonstrukcji, rym „granice – mgławice” – ileż skojarzeń włożył AZ w niszczenie tez WK. Jak u nikogo innego, widać u Zybertowicza ten rozpęd, przyśpieszenie metaforycznych asocjacji wyzwolone, by zrównać z ziemią szańce przeciwnika. EFEKT DOMINA jest tu napędzany agresją, impetem polemisty w stanie *furioso*, który w końcu, gdy brak już metafor, przechodzi na pozycję żandarma strzegącego wartości: „A wartości naszej kultury to nie tylko miłe opowiadki o równości, wolności słowa etc. To także ZAKAZY. Jakże to uprzejme, niekiedy uwodzące (nie tylko studentki) – przybierać tożę obrońcy wolności” (72). Jasne, że obrońcą wolności i wartości jest tu AZ. Straszne, gdyż sięga on – najgorsza odmiana ED – po jakieś skojarzenia mające charakter insynuacji skierowanej nie *ad personam*,

<sup>73</sup> O metaforze w dyskursie krytycznym zob. M. Głowiński, *Ekspresja i empatia. Studia o młodopolskiej krytyce literackiej*, Kraków 1997, rozdz.: *Reguła minimum terminologicznego*.

<sup>74</sup> W. Kalaga, *Tradycja – tekst – interpretacja*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 91-104. To udane odparcie ataków.

<sup>75</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, s. 270.

lecz ku całemu środowisku humanistycznemu, złożonemu jakoby z niemoralnych uwodzicieli studentek (dopominam się też o studentów, czemuż oni nie?).

Asocjacje uruchamiane przez ED mają różny charakter: obrazowy (wizja, obraz kojarzy się z innym itd.), sensualny (np. węchowy, smakowy, dotykowy...), pojęciowy (choćby skojarzenie osmozy z interpretacją i ontologią tekstu), erudycyjny (najczęściej ma charakter ornamentu mającego na celu przez przywołanie licznych tekstów cudzych zbudowanie autorytetu kompetentnego badacza), formalny (gdy kształt stylistyczny lub gatunkowy tekstu odwołuje się do mniej lub bardziej rozpoznawalnych wzorców cudzych)<sup>76</sup>, emotywny (trudna do określenia tendencja do imitowania różnych stanów emocjonalnych przejawiających się w innych tekstach za pomocą stylu, a przenoszonych do tekstu własnego), „neologiczny” i etymologiczny, gdy dotyczy sposobów tworzenia nowych słów i kategorii lub procedur etymologicznych stosowanych przez innych myślicieli czy pisarzy (iluz naśladowało w tej przestrzeni Heideggera czy Schelera), metodologiczny (kiedy badacz skacze od metody do metody, nie preferując w końcu żadnej), aksjologiczny (dochodzi wtedy do przyśpieszonej gradacji wartościowań polegającej na odwołaniu się do wyobrażeń stopniowania – tekst okazuje się w końcu – niezgodnie z prawdą – albo czystą doskonałością, albo absolutnym kiczem, co zostaje potwierdzone przez przywołanie rozlicznych przypadków innych podobnych dzieł); hermeneutyczny (w tym szczególnym przypadku, który pojawia się po trosze we wszystkich innych typach ED, myślenie nie odnosi się w ogóle do tekstu, ale do „ja” quasi-interpretatora, kolejnych warstw jego jaźni, odsłaniających się w procesie pseudointerpretacji, która jest w istocie terapeutyczną autoanalizą)<sup>77</sup>; probalistyczny (skojarzenia dotyczą prawdopodobieństwa zachodzenia jakichś faktów, na przykład w biografii pisarza lub w znaczeniu elementu tekstu; oznacznikiem tego typu ED jest inflacja formuł niepewności i nieokreśloności: „chyba”, „być może”, „jakiś”)<sup>78</sup>.

Warto jeszcze dwie rzeczy zauważyć. Zazwyczaj efekt domina oparty na jednym typie nośnika wywołuje polemikę czy omówienie za pomocą tego samego medium. Zatem bitwa na metafory Kalagi i Zybortowicza może być tylko podsumowana inną jeszcze metaforą (co ja sam tu czynię: to „bitwa”!). Adam Makowski, który poprzedził wstępem numer pisma zawierający owe polemiki, wspiał się na jeszcze wyższe niż protagoniści piętro obrazowych metafor:

Kalaga proponuje zupełnie inną metaforykę: przenosi nas w (semantyczną) przestrzeń międzyplanetarną, aby – definiując tekst jako „mgławicę” – osiągnąć podwójny cel: po pierwsze, nie narzucać mu jakichkolwiek

<sup>76</sup> Osobne i złożone zagadnienie to związki intertekstualności i ED.

<sup>77</sup> Widać tę tendencję także u badaczy o orientacji psychoanalitycznej. Zob. D. Danek, *Sztuka rozumienia. Literatura i psychoanaliza*, Warszawa 1997.

<sup>78</sup> Spełnieniem tych tendencji jest dla mnie piarstwo J.M. Rymkiewicza. Zob. tegoż, *Słowacki. Encyklopedia*, Warszawa 2004.

trwałych granic, ponieważ takie działanie byłoby arbitralne i zrelatywizowane do konkretnego aktu odbioru: po drugie jednak, obronić tezę, że tekst „jest uprzedni względem odbiorcy i istnieje niezależnie od niego”. Rezultatem tych założeń jest malowniczy obraz nebularnej (łac. nebula = mgła) i wirtualnej chmury interpretantów, które nieustannie się rozpraszają w dyfuzyjnym procesie międzyznakowej (samo)interpretacji, ale zarazem zachowują względną spójność, dzięki „sile przyciągania znaków”, którą Kalaga określa też jako „łagodną, totalizującą moc «powabu» wnętrza – teleologii tautologicznie przynależnej do definicji tekstu jako znaku”. W ten sposób tekst – choć nie ma granic – nie traci niezależnego od czytelniczych aktualizacji ontologicznego statusu; można by powiedzieć: ma granice – nieskończony<sup>79</sup>.

Jak widać, uczony od przestrzeni międzyplanetarnych dotarł w końcu do aluzji literackiej, do oksymoronu z... kolędy Franciszka Karpińskiego *Bóg się rodzi...* z jej słynnym wersem „Bóg się rodzi, moc truchleje/ Ma granice nieskończony”, co uznałbym za mało stosowne wykorzystanie potencjału ironii.

Istnieje jednak jeszcze taka dziedzina, gdzie efekt domina stosować nie tylko możemy, ale powinniśmy: to sfera naszych, czynionych dla wszelkiego typu satysfakcji doświadczeń czytelniczych. Tu nie powinniśmy się ograniczać. Niechaj tu właśnie dla jednych tak choćby Woolf będzie uosobieniem uniwersalnej mądrości, innym zaś jawić może się jako uniwersalny lek na bezsenność, skuteczny w najcięższych przypadkach. Niechaj jedni czytają Kafkę przez Konfucjusza, a innym niech się kojarzy Homer z Martinem Amisem. Jakkolwiek nie zawsze będzie w tym wiele sensu, to przecież – ostatecznie! – od tego zależy nasza przyjemność czytania (...oby też pióra nie było wtedy w zasięgu wzroku...).

## Dwie komedie

Interpretator jest w istocie figurą dziwną i niepokojącą. Życie nie polega na nieustającej interpretacji, lecz na zawieszeniu większości z interpretacji możliwych. Okazuje się więc ono samoograniczeniem. Niczym innym niż tylko nieskrępowanym ruchem asocjacji z jednej i wstrzemięzliwym samoopanowaniem z drugiej strony jest interpretacja. Będę trochę złośliwy: nie znam interpretatora, który chciałby powtórzyć słowa kończące Prolog do pewnej komedii Terencjusza, której tytuł w cytowanym zdaniu wyróżniono kursywą: „Słuchajcie uważnie w ciszy i skupieniu, byście zrozumieli, co Eunuch ma do powiedzenia”<sup>80</sup>. O nie, tego nie powie żaden interpretator!

<sup>79</sup> A. Makowski, *Mgławice i wspólnoty*, „Teksty Drugie” 1998, z. 4, s. 1-2.

<sup>80</sup> Terencjusz, *Eunuch*, [w:] tegoż, *Komedie*, t. 1, przekład, wstęp, przypisy E. Skwara, Warszawa 2005, s. 298.



Wszystkim nam towarzyszą raczej słowa, które wypowiada sam Sokrates poruszony obecnością Faidrosa. To jego porwał „jakiś niezwykły strumień wymowy”, dlatego filozof zaczyna, znalazłszy uznanie, mówić dalej: „A więc słuchaj mnie w milczeniu”. Wydaje się, że jeśli nawet kojarzymy nad miarę, jeśli kostki domina padają w naszych – i w moich – interpretacjach niepowstrzymanie i zbyt dalekimi rozlewają się rozgałęzieniami, to przecież niemal zawsze pozostajemy usprawiedliwieni przez intencję, która nami kieruje: rozumienia i dzielenia się tym rozumieniem z innymi. Nie: narzucania naszych odczytań, obrazów, asocjacji. Nie: niszczenia cudzej ikono- i ideosfery. Ale: proponowania, przed-kładania w aktach solidarnego uczestnictwa w tej samej sztuce życia, naraz komedii i tragedii.

W tym sensie kierujemy się zawsze, pochylając się nad tekstem raczej myślą z *Kupca* Plauta, którą powtórzył potem także Terencjusz: *amantes amentes*: zakochani [są jak] szaleni<sup>81</sup>. Zakochani w interpretacji są jak szaleni. Ma to sens, gdy nie tylko na teksty, ale i na siebie wzajem patrzymy ze zrozumieniem, a bywa i z miłością.

\*

Tekst dedykuję dr Annie Janickiej. 10.07.2009. „Jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, co on ma na myśli – westchnął Bonamy”<sup>82</sup>.

## ABOUT THE INTERPRETATIVE DOMINO EFFECT

### Summary

The issue of the paper is a phenomenon belonging to the theory of interpretative procedures. These procedures are practiced in humanities. The author notices that the unclear meaning of the texts is very often caused by some reasons: 1) scholars use vague, ambiguous, figurative language of discourse. In the case of the literary research it causes the accumulated ambiguity; 2) literary commentators use the trains of associations; a text is in associations with another ones but its right meaning is blurred. The author of the study analyses this phenomenon using example of theoretical discussion about “a problem of text” which had place in “Teksty Drugie” in 1998 year.

---

<sup>81</sup> U Plauta, *Kupiec*, Prolog, 81; u Terencjusza *Dziewczyna z Andros*, 1, 3, 13. U Plauta także inna wersja: *amans amens*, czyli „kto miłuje, ten wariuje” (*Komedie*, s. 66, przyp. 39).

<sup>82</sup> V. Woolf, *Pokój Jakuba*, s. 256.